MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 16 WARSZAWA, 15 LIPCA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

ŚWIATEK MALEŃKICH IDEAŁÓW

DZIENNIK „Głos Prawdy" zamieścił niedawno *) dłuższy artykuł p. J. M. Rytarda p. t. „Czy sport jest celem, czy środkiem?" Autor z sympatją, z entujazmem nawet rozpisuje się o „romantyzmie zupełnie nowego wymiaru", „romantyzmie sportowym", zdolnym pobudzać do poświęceń, do bezinteresownego składania na ołtarzu sportu ofiary z „realnych potrzeb i wygód własnego życia". Ludziom „trzeźwym, robiącym normalną karjerę życiową" przeciwstawia typy „sportowców, którzy mając jedno ubranie czy sukienczynę na grzbiecie i jakieś tam utrzymanie... całe dnie spędzają na boiskach i bieżniach". Nawet wówczas, kiedy głównym celem zawodnika staje się osiągnięcie rekordu, dostrzega p. Rytard w sporcie cechy „pięknego idealizmu, którego brakuje w innych dziedzinach życia". Skoro zaś przystępuje do „historji wielkich czynów sportowych", nie waha się twierdzić, że w nich właśnie osiągnięte zostały „najwspanialsze wyżyny w walce z nieznanem, na jakie zdobywał się człowiek". To też odpowiedź na pytanie, jakie postawił w nagłówku swego artykułu, nie przedstawia dla p. Rytarda wątpliwości: w sporcie, w „szczytowych chwilach... cel zlewa się ze środkiem (jak forma z treścią w sztuce)" zaś „wielkość i wartość ich krystalizuje się w kształt nieśmiertelny!"

Artykuł p. Rytarda z tego powodu zasługuje na uważne rozpatrzenie, że stanowi wyraz pewnych nastrojów, pewnego specjalnego zupełnie stosunku do zagadnień sportowych, który dziś nader usilnie jest propagowany. Dwa właściwie są zasadnicze elementy tego stosunku. Jeden—to traktowanie sportu, jako celu „samego w sobie", jakby jakiejś wartości bezwzględnej, nie zaś ocenianie go w zależności od tych czynników dodatnich, jakie wnosi on w dziedzinę fizycznego i moralnego wychowania Narodu. Drugi — to podnoszenie takiego właśnie „czystego", bezideowego sportu na wyżyny jakiejś idei samoistnej, rozprawianie o nim nie jak o rozrywce lub ćwiczeniu, lecz w sposób uroczysty („romantyzm", „piękny idealizm", „poświęcenie", „najwspanialsze wyżyny w walce z nieznanem"). I jedno i drugie nie dzieje się bez celu i bez powodu.

Jest faktem znamiennym, że ten właśnie stosunek do sportu, przedstawiony powyżej, propagują z zapałem te same sfery, z których rekrutują się najzagorzalsi szerzyciele idej pacyfistycznych i międzynarodowych. Oczywiście, przodują w tej propagandzie Żydzi, zaś cele jej określił w swoim czasie najszczerzej niejaki p. Szatchin, w artykule o „Pacyfikacyjnej roli dziejowej sportu" w „Tygodniku Sportowym". „Kto odważny, dumny, szlachetny... — woła p. Szatchin — niech biegnie na zawody sportowe, a zapewniamy, że większą mu to sprawi satysfakcję, niźli przelewanie krwi bliźnych". Rozumowanie myślicieli typu p. Szatchina jest nadzwyczaj proste: ponieważ młodość zawsze będzie posiadała nadmiar sił, temperamentu, energji, ponieważ zawsze gotowa będzie trudzić się i narażać na niebezpieczeństwa w imię idei lub dla sławy, należy przeto wystawić przed nią jako ideał, jako „najwspanialsze wyżyny, na jakie zdobywał się człowiek"—laur sportowca, aby innych laurów już nie pragnęła. Trzeba tylko ideę obrony Ojczyzny zastąpić przez ideę skoku o tyczce, a spokojny postęp ludzkości jest zapewniony!

W ostatnich latach ta propaganda sportu, jako idei, z fanfarami reklamy wtargnęła, jako moda, i do literatury. „Skokom o tyczce", „Rekordom w biegu na 100 metrów", „Biegom na przełaj" potrafi Kaz. Wierzyński poświęcić cały ostatni tomik swych wierszy. A gdy Allain Gerbault łodzią żaglową przepłynie z Cannes

*) Nr. nr. 181 i 182 z dn. 4 i 5 b. m.

do Nowego Yorku, to wieść o tem, tak szeroko rozniesiona będzie po świecie, takiem echem odbije się w kawiarniach Warszawy i Krakowa, że w Warszawie p. Antoni Słonimski, w Krakowie p. Jan Brzękowski jednocześnie poczują w swych piersiach natchnienie i mową wiązaną złożą hołd czynowi francuskiego sportowca. Czyż tu w Polsce, w epizodach wojennych z przed lat kilku, nie znalazłoby się równie wspaniałych przykładów wytrwałości, wytrzymałości fizycznej i nerwowej, przedsiębiorczości, odwagi? I czy to właśnie nie odróżnia czynu Gerbaulta pośród tysięcy piękniejszych, że wysiłkowi jego nie przyświecał żaden cel pozasportowy, żaden ideał?

Warto zastanowić się, jak głęboko demoralizujący jest pod tym względem wpływ prasy brukowej, w której rekordy sportowe apoteozowane są, niczem szczyty heroizmu. Zwinność ruchów, przytomność umysłu, odwaga muszą stawać się powoli przedmiotem kultu tłumów, niezależnie od celu, w jakim zostały użyte.

Propagandzie sportu, jako najzdrowszego typu rozrywki, a zarazem znakomitego ćwiczenia mięśni i charakteru, ta retoryka, reklama, wytwarzająca „modę na sportowca", w rezultacie przynosi więcej szkody, niż pożytku. Piękna rozrywka przeistacza się pod jej wpływem w widowisko dla tłumu, jednocześnie zaś wytwarza się niezbyt przyjemny typ sportowca-specjalisty, którego celem staje się zdobywanie rekordów i... oklasków na coraz nowych boiskach i bieżniach świata. Rozwijają się sporty standardyzowane, jednakowe w Jokohamie czy w Warszawie, gdy równocześnie usuwane są w cień najpiękniejsze, których nie da się podciągnąć pod stryhulec „światowego rekordu" n.p. polowanie. Najgorętsi nawet entuzjaści sportu zaczynają wyczuwać, że obecny kierunek rozwoju jest niebezpieczny, stąd n. p. niechęć t.zw. „amatorów" w stosunku do „zawodowców". A ruch harcerski, „obozy letnie" i t. p., czyż nie są próbą wyzwolenia się z jednostronności „rekordu", wprowadzenia do wychowania fizycznego tych wartości, które sport w dzisiejszym stanie rzeczy zaczyna zatracać?

Ale istotnem źródłem wszystkich dzisiejszych niedomagań sportu jest zjawisko, daleko poza sport sięgające, bez porównania głębsze i ogólniejsze. Jest niem b e z i d e o w o ś ć, wypieranie wielkich ideałów przez coraz mizerniejsze, maleńkie. Właśnie dlatego idea sportu jako celu „samego w sobie" oraz wszystkie jej konsekwencje zasługują na dokładne bardzo rozpatrzenie, że stanowią wyjątkowo znamienne *signum temporis*, pozwalają wyraźnie uświadomić sobie niebezpieczeństwo, jakiem cywilizacji grozi zapanowanie tego rodzaju psychiki, tego gatunku ideałów. Daleko — jak widać — zaszło burzenie podstawowych wartości moralnych, religijnych narodowych, jeżeli można głosić bez zająknienia, że „najwspanialsze wyżyny w walce z nieznanem" osiąga człowiek przez sport, albo twierdzić z całą powagą, że sportowiec dzisiejszy—to współczesny odpowiednik... średniowiecznego rycerza. Głęboko zabrnął świat międzynarodowo-żydowski w materjalizm, jeżeli *hockey* na lodzie uważa już za... wzlot w krainę ideału.

I z tą bezideowością, z tym bezmyślnym, demoralizującym światkiem maleńkich ideałów trzeba toczyć walkę nieubłaganą na wszystkich polach. W wychowaniu fizycznem, tak jak wszędzie, aby nie zejść niepowrotnie na bezdroża, trzeba mieć za drogowskaz wielką ideę i według tej idei oceniać wartość poszczególnych jego czynników. Kiedy w sporcie widzieć będziemy jeden ze środków dla wzmożenia fizycznej i moralnej tężyzny Narodu, wówczas sport polski odnajdzie i treść moralną właściwą, nie zwyrodniałą, i wytworzy nowe, własne formy, nie będące tylko bezmyślnem naśladownictwem obcych wzorów.

JAN REMBIELIŃSKI

CZY MINISTERJUM PRACY JEST POTRZEBNE?

(NA MARGINESIE „*CARTA DEL LAVORO*")

W umysłach ludzi trzeźwo i realnie myślących, których troską jest najwyższe dobro narodu i państwa, oddawna już utwierdza się przekonanie, że w Polsce jest zamało pracy a zadużo ministerjów, a przedewszystkiem istnieje ministerjum pracy, którego główna troska spoczywa na kwestji... bezrobotnych.

Redukcja niektórych ministerjów w okresie przedmajowym nastąpiła raczej ze względów oszczędnościowych. Zdaniem mojem jednak ten wzgląd nie powinien w tej sprawie decydować, zwłaszcza, że wielkiej oszczędności za sobą nie pociąga; bo czy będzie osobne ministerjum czy osobny departament w danem ministerjum z generalnym dyrektorem, naczelnikiem wydziału, czy prezesem dyrekcji, to agendy są te same, a cyfra urzędników o ile się okaże zbyt wielka, może być równie dobrze zredukowana w ministerjum jak w departamencie. Tu rzeczywistą oszczędność stanowić będzie istotna p o t r z e b a danego urzędu lub jego z b ę d n o ś ć. Sprawa ta staje się obecnie aktualna wobec projektów wydzielenia dyrekcji służby zdrowia publicznego minist. spraw wewnętrznych i utworzenia znowu ministerjum zdrowia publicznego. Wogóle zaś, aktualność tego zagadnienia zwiększa świeżo ogłoszona włoska „Konstytucja Pracy".

Przy rozważaniach tych, jedno z góry należy zrobić zastrzeżenie, a to: interesy partyjne tudzież osobiste muszą być wzięte poza nawias. Nie można uważać żadnego ministerjum za domenę tego lub owego stronnictwa, ani też tworzyć ministerjum dlatego, żeby kogoś zrobić ministrem. (Precedensów w jednym i w drugim kierunku u nas, niestety, nie brakło!).

Na wstępie stwierdzić muszę poprostu nie jako lekarz, ale jako obywatel, rozumiejący znaczenie zdrowia dla majątku narodowego i dobrobytu państwa, że min. zdrowia publicznego wraz z opieką społeczną uważam za konieczność. Z takiego postawienia sprawy, które postaram się umotywować w toku dalszych rozważań, wynika jasno, że minist. pracy, którego cała racja bytu związana jest z opieką społeczną, stanie się zbędne z chwilą, gdy opiekę społeczną obejmie mini-

sterjum zdrowia z wiceministrem lub naczelnikiem tego wydziału, prawnikiem i znawcą zagadnień socjalnych na czele. Jest rzeczą jasną, że praca jako czynność jednostkowa lub zbiorowa, zarówno fizyczna jak i umysłowa, może wymagać ingerencji władz państwowych w tej lub innej formie, w tym lub owym momencie. Działy więc pracy produkcyjnej należeć będą do ministerjum przemysłu i handlu, praca rolna do min. rolnictwa, praca umysłowa do działów poszczególnych ministerjów (spraw wewnętrznych, skarbu i t. d.). Cóż więc pozostanie dla min. pracy? — Zostanie: pośrednictwo pracy, zatargi zbiorowe (Statut org. min. pracy z Dekretu Rady Regenc. 1918 r.) i... patronat nad związkami zawodowemi. Trudno stwarzać fikcję ministerjum pracy dla zajmowania go tylko temi dwiema sprawami i... „bezrobotnymi", troskę zaś o byt związków zawodowych przejmie od rządu z pełnią odpowiedzialności... społeczeństwo. Rząd winien wyzbyć się tego patronatu jaknajrychlej. Na załatwienie tych spraw materjalno-administracyjnych znajdzie się miejsce w odnośnych ministerjach, które też poradzą sobie i z zatargami, umowami, inspekcjami i związkami zawodowemi. Załatwianie spraw pracy z punktu widzenia opieki społecznej spadnie na min. zdrowia, które z istotą samej pracy i z zagadnieniem jej hygieny, da sobie (wraz z departamentem opieki społecznej) niewątpliwie radę z większą niż min. pracy korzyścią dla pracujących i pracodawców. Nie ulega przecież wątpliwości, że inspekcja pracy musi być załatwiana przez fachowców, emigracja, repatrjacja, ewakuacja, i t. d. muszą być terenem działalności opieki społecznej, a czas pracy, jej hygiena, ubezpieczenia i opieka nad dzieckiem i matką, tudzież młodzieżą, muszą z natury rzeczy być bezpośrednio kierowane przez ministerjum zdrowia.

Ale zajrzyjmy do historji naszych—od Rady Regencyjnej aż po dzień dzisiejszy—organizacyj, reform i reorganizacyj poszczególnych urzędów a wówczas się się przekonamy, że zagadnienie min. pracy z dziwnym i niezrozumiałym uporem władz decydujących zawsze bywało rozwiązywane w ten sposób, że albo tworzyło się—a potem znosiło min. zdrowia, nie tworząc min. opieki społecznej, albo obydwa te ministerja podporządkowywało się min. pracy, ale nikomu z reorganizatorów nie przyszło na myśl podporządkowanie min. pracy, np. min. zdrowia lub opieki społecznej i żaden z reformatorów nie zapytał się dotąd, czy wogóle i do czego właściwie potrzebne jest ministerjum pracy. Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z 18 stycznia 1924 r. zniosło min. zdrowia i wtedy przeszły do min. pracy i opieki społecznej między innemi i takie sprawy, które z natury rzeczy wymagają administracji lekarskiej, jak „lekarska" (wyraźnie lekarska), „opieka nad dzieckiem macierzyństwem", dalej „współdziałanie w sprawach lekarskiej opieki nad inwalidami i kalekami" (wyraźnie lekarskiej opieki), wreszcie „hygieny pracy (wyraźnie hygieny) w przemyśle, górnictwie i rzemiosłach", w końcu między sprawami przekazanemi min. pracy i opieki społecznej znajdujemy pod pozycją 5-tą „sprawy opiekuńcze instytucyj i towarzystw o celach leczniczych i hygienicznych", (wyraźnie leczniczych i hygienicznych). Tu zauważyć muszę, że § 2-gi pozycja 4-ta wymienionego rozporządzenia Prezydenta z 1924 r. wyraźnie mówi, że w sprawach hygieny pracy, a to w komunikacji lądowej i wodnej, zastrzeżone jest współdziałanie ministra spraw wewnętrznych oraz odnośnie do przedsiębiorstw państwowych również i innych ministrów, pod których zarządem znajdują się te przedsiębiorstwa.

Gdy się to wszystko widzi, *difficile satyram non scribere*, nie sposób nie stwierdzić, że albo bawimy się w Państwo, albo jest tu jakieś wielkie nieporozumienie. Więc znosi się min. zdrowia, aby cztery jego agendy (wyraźnie jego dotyczące), oddać min. pracy i opieki społecznej, zamiast znieść min. pracy a opiekę społeczną złączyć z min. zdrowia. Generalnej dyrekcji Służby zdrowia krzywdy się przez to nie zrobiło, bo zdrowotnictwo w Polsce zbyt wiele niestety jeszcze ma do powiedzenia, do napisania i do zrobienia, poza hygieną opieki społecznej, ale krzywdę zrobiło się instytucjom społecznym, zwłaszcza z punktu widzenia sanitarnego, przez oddanie tych spraw min. pracy chyba dlatego, aby uzasadnić rację bytu tegoż ministerjum.

Jak już na wstępie wspomniałem, po wydzieleniu rzeczywistej opieki społecznej zostaje dla min. pracy bardzo niewiele a do tego w tym bardzo niewielkim rejestrze spraw pozostała rzecz, która stanowi *contradictio in adiecto* czyli inaczej mówiąc, min. pracy ma się zajmować tymi, którzy nie mają pracy a częstokroć nie chcą pracować... Nie chcę gołosłownych twierdzeń wypowiadać, więc zaglądam do Statutu organizacyjnego min. pracy i opieki społecznej i cóż tam znajduję? Oto pozycja 2: ochrona pracy (patrz, przemysł) a) inspekcja pracy, czas pracy, b) związki zawodowe, c) zatargi i umowy zbiorowe (patrz: rolnictwo); pozycja 3: pośrednictwo pracy a) urzędy, b) emigracja i uchodźcy, c) bezrobotni. Pozycja 4: opieka społeczna a) ubezpieczenia, b) sądy dla nieletnich — opieka nad dziećmi i młodzieżą, c) ewakuacja (sprawy wojskowe), d) repatrjacja. Z tej pozornie pokaźnej liczby agend cały dział ochrony pracy, a to inspekcja i czas pracy, winien być podporządkowany min. przemysłu i handlu zwłaszcza, że już sam Statut organizacyjny wskazuje na potrzebę porozumienia z tem ministerjum. A zatargi i umowy zbiorowe w których Statut przewiduje porozumienie z ministerjum rolnictwa, czyż nie należą one do min. spraw wewnętrznych? Któż ma na głębokiej prowincji godzić posiadacza folwarku z robotnikiem rolnym, jeśli nie starosta podległy min. spraw wewnętrznych? A związki zawodowe? Czyż na to potrzeba patronatu rządu wogóle a w szczególności aż osobnego ministra pracy? Rozdział 3 Statutu organizacyjnego z 1921 r. nosi tytuł „Pośrednictwo pracy" a mianowicie urzędy, emigracja i uchodźcy. Czyż tych rzeczy nie należy zostawić inicjatywie samego społeczeństwa, czy nie wystarczy inspektorat dla kontoli nad temi sprawami przy min. spraw. wewnętrznych o ileby zaszły jakie przestępstwa i wykroczenia. Zostaje jeszcze pod L. c) poddział „bezrobotni" i już co, jak co, ale bezrobotni chyba w min. pracy nie mają co robić. Trzeba ich przeobrazić jaknajprędzej w pracujących, a wtedy, jako tacy, znajdą opiekę w odnośnych ministerjach, zanim się zaś to stanie, przydzielić ich należy do opieki społecznej. Rozdział czwarty wymienionego Statutu stanowi wyłącznie opieka społeczna a nie ministerjum pracy, a mianowicie ubezpieczenia społeczne, sądy dla nieletnich, opieka nad dziećmi i młodzieżą, wreszcie ewakuacja i repatrjacja, które to ostatnie muszą być przedewszystkiem oddane pod ingerencję ministrów: spraw wewnętrznych i wojskowych.

Streszczając powyższe, stwierdzić tedy należy, że w naszych stosunkach gospodarczych, społecznych i politycznych, min. pracy jest niepotrzebne a natomiast część jego agend winny objąć: min. przemysłu i handlu, min. rolnictwa i min. spraw wewnętrznych, część drugą ministerjum zdrowia i opieki społecznej, które, jak słychać, ma być utworzone na nowo. Nie zagłębiając się na tem miejscu, jak ta sprawa jest roz-

strzygnięta gdzieindziej w świecie, można przyznać, że w krajach uprzemysłowionych, gdzie kultury społecznej i gospodarczej nie zachwaściła i nie zagłuszyła polityka klasowa, pewno znajduje się miejsce i dla ministerjum pracy. W Niemczech, mimo że są one kolebką marksizmu, tę kulturę, której u nas brak, znaleźć można. Wiele wskazań do rozwiązania zagadnienia pracy i jej organizacji znajdziemy u Forda*), ale klucza najpewniejszego szukać należy w faszystowskiej Konstytucji pracy, sławnej *„Carta del lavoro"*. Z kart tej konstytucji pracy wynika, że Włochy nie tylko przekreśliły gospodarczą doktrynę liberalizmu, ale przeciwstawiły się marksowskiej doktrynie walki klas i na jej miejsce wydźwignęły zasadę „możliwie najdoskonalszej harmonji między przedsiębiorcą a robotnikiem, między kapitałem a pracą". W takich warunkach powstałe i na tych zasadach oparte artykuły Konstytucji Pracy, stwarzają atmosferę dla osobnego ministerjum pracy jaknajprzychylniejszą i najpodatniejszą, i dlatego zadań dla osobnego ministerjum pracy tam pod dostatkiem. Tam ministerjum pracy nie będzie hamulcem pracy lub wahadłem od lewicy do prawicy, między strajkiem a lokautem, tam nie jest troską ministerjum pracy, czy i o ile podwyższyć lub zniżyć stawkę dla bezrobotnych, ale tam ministerjum pracy jest mechanizmem zegarowym, który nadaje ruch i spręźność organizacji pracy całego narodu, ku jego szczęściu i bogactwu. U nas jeszcze do tego dość daleko.

Lwów JAN OPIEŃSKI

*) Por. „System społeczny i gospodarczy Henryka Forda", przez Stanisława Kopczyńskiego.

MASONERJA NIE ISTNIEJE...

LEWICOWY inteligent polski nie lubi pytań, wchodzących w zakres spraw wiary, Kościoła oraz zagadnienia: ludzkość-ojczyzna. Nie lubi, bo nie ma na nie odpowiedzi, więcej, nie chce jej mieć, czuje bowiem, że, aby dać odpowiedź, musiałby zdecydować się na rozplątanie wężowiska najdziwaczniejszych powikłań, antynomij, głębokich konfliktów uczuciowych, składających się w sumie na tego dziwotwora, którym jest świadomość lewicowego inteligenta polskiego. Taka próba rewizji byłaby bolesnem, a często beznadziejnem brnięciem przez las najwstydliwszych, najbardziej kolczastych drażliwości. Nie — to nie dla niego! — On już woli zostać „jakoś tak" — będzie sobie żył po dawnemu, rzeczywistość będzie kapała po kropelce przez dziurawy dach jego świadomości, nakapie się z tego kałuża, przegnije podłoga, dach zmurszeje, przywali inteligenta, ubije — no i tak obejdzie się bez rozwikływań, bolesnych „rewizyj", bez wstrząsania uleżałych i zaśniedziałych pokładów sentymentu.

Do pytań, których inteligent polski śmiertelnie się boi, należy pytanie: „Jaki jest twój stosunek do masonerji?" — Bo co tu odpowiedzieć? — Że jest pozytywny? — Takby niby należało — naczalstwo, nie urzędowe, nie partyjne, ale to duchowe, ideowe naczalstwo jest w ogromnej większości masońskie—tak coś wygląda... Ale w odpowiedzi twierdzącej kryje się niebezpieczeństwo. Inteligent czuje przez skórę, że gdy tak odpowie, nie oszczędzą mu następnego pytania: „Czy wiesz, że masonerja zwalcza Kościół katolicki i czy ty sam chcesz do tej akcji przystąpić?" — Zwalczać Kościół?.. No tak, w pewnem znaczeniu, naturalnie... klerykalizm, wysokie opłaty za chrzty i pogrzeby, tak, tobym zwalczał, nawet więcej—jestem za ślubami cywilnemi, za rozdziałem Kościoła od Państwa. — Słowem zwalczasz Kościół? — Tego nie powiedziałem, ograniczam go tylko... Pewne tradycje są piękne, nawet je kocham, Boże Narodzenie n.p., lubiłem zawsze procesje na Boże Ciało...

— Niemiło, zagmatwanie, żenująco...

A może odwrócić się otwarcie od masonerji? — Nie, też nie można. Bo wtedy się jest „endekiem". Można mowić głupstwa, można przeczyć rzeczywistości, ale nie można powiedzieć nic takiego, na co zgadza się „Endecja".

Jest jeden tylko sposób wybrnięcia z przykrego kontrowersu: przez zanegowanie jego istnienia.—„Masonerja nie istnieje! Masonerję wymyśliła Endecja!" — tak bąka, przyparty do muru inteligent, łykając łzy, podniecony, z trzęsącą brodą, zdyszany, opędzając się natarczywej chmarze wątpliwości, co go osaczają bezlitośnie.

Mówiąc tak, inteligent kłamie, kłamie naprzekór oczywistości. Gdyby bowiem wierzył w to, co mówi, musiałby uznać, że zarówno oficjalne sprawozdania z kongresów masońskich, umieszczane w prasie, jak wystąpienia pism w rodzaju komunistycznej „Myśli wolnej" (jak się zdaje, nie opanowanej przez „wpływy endeckie"), że bezceremonjalne wynurzenia licznych świeżo upieczonych masonów, którzy z dziecinną chełpliwością kokietują świat zdobytym „stopniem", że cała naukowa literatura przedmiotu — że słowem wszystko, co niezbicie dokumentuje istnienie masonerji, jest owocem fantazji ludzkiej, lub arcydziwnej zmowy przeciw nieistniejącemu wrogowi. Dziś, kiedy lada francik sanacyjny obnosi po tynglach swe masońskie szlify (tak już masonerja shołociała!), negować istnienie masonerji może tylko zła wola, albo strach przed koniecznością wyraźnego ustosunkowania się do tej instytucji. To ostatnie zachodzi właśnie w wypadku inteligenta.

Ale byłoby zwycięstwem łatwem i niegodnem wytykać lewicowemu inteligentowi polskiemu jego bezbronność, pozostawiając go w stanie utraconej równowagi wewnętrznej, więcej, pogłębiając ten stan przez obnażanie jaskrawości i dziwaczności antynomij, które nietrudno wykryć w jego rzekomem *„credo"* społecznem.

Inteligent zasługuje na ratunek, jest opuszczony i potrzebuje pomocy. Mam tu, rzecz prosta, na myśli nie rzesze dobrze wykarmionych bufonów „sanacji" i nie teozofujące żydóweczki, nie *jurodiwych* pepesujących mistyków, nie ten cały rój klikusz żeńskich i męskich, szukających żeru dla swej zdegenerowanej przed rozkwitem uczuciowości, grzebiących, jak czerw w padlinie, we wszystkiem, co zalatuje ekscytującym, a nie angażującym głęboko konfliktem, słodkim zapaszkiem rozkładu. Nie o niej mówię — ale o tej naszej poczciwej Socjal-Ułanji, która prawdziwie czy fałszywie pojmując dobro narodu i swoje obowiązki wobec Ojczyzny, dokumentowała wielką ofiarnością, a często życiem wierność swym przekonaniom. Tym to ludziom mamy dać ratunek; mają prawo go od nas żądać.

Jest to zadanie ogromnie trudne... przez swą prostotę. — Bo ratunek jest prosty: dać im odczuć

wielkie, heroiczne poruszenia ducha, wyrastające z naszej ideologji, z naszej myśli, z naszej wiary.

Taka już jest struktura duchowa inteligenta polskiego, że reaguje tylko na tony bardzo wyraźne i bardzo gorące. — Możnaby tu naturalnie wiele zauważyć krytycznie, możnaby wypowiedzieć wiele słusznych zdań na temat stosunku refleksji do uczuciowości, możnaby bez trudu wykazać „ciasność“ tak zorganizowanej psychiki. I byłoby w tem wiele, bardzo wiele słuszności: gdyby społeczeństwo składało się z samej lewicowej inteligencji — przemieniłoby się ono w jakieś bractwo wojowniczo-mistyczne nieszczególnego autoramentu. — Ale, wzięta w sobie, inteligencja owa reprezentuje pewną zamkniętą postać życia, pewien typ uczuciowości o wartości niepoślednlej, typ, który w całości życia narodowego może odegrać znaczną rolę. Siłą jego jest to właśnie, co skądinąd jest jego mankamentem: jednostronne i wyłącznie uczuciowe reagowanie na życie. — Z takich właśnie ludzi można wykrzesać wielki ogień, oni stać się mogą tym rezerwoarem emocyj, który jest nieodzownym warunkiem pełnego i twórczego życia narodu. Krytyk ironizujący, dufny w swej wyższości wobec tych „prostaczków“, niechaj się zastanowi, czy on sam, w swoim rodzaju (człowieka refleksji) osiągnął rezultaty, które intesywnością mierzyćby się mogły z rozmachem i żarliwością tych „prostaczych dusz“?

W naszej walce o Polskę narodową liczyć się musimy z tą prawdą, że najwytrawniejsza polemika, najsubtelniejsza dedukcja nie mają żadnej, literalnie żadnej władzy oddziaływania na psychikę inteligenta polskiego. On często nie wie, że wogóle istnieje ta kategorja faktów, któremi się w polemice na wyższym postawionej poziomie operuje — są to dla niego rzeczy nierealne, obojętne w najlepszym razie, często wręcz antypatyczne. Conajwyżej inteligent lewicowy czuje się argumentacją przeciwników przygnieciony, nigdy przekonany. — Natomiast jeden ksiądz Skorupka może wywołać kataklizm, może przywrócić równowagę do góry dnem wywróconej psychice lewicowo-inteligenckiej. Dziesięciu bohaterskich proboszczów zrobić tu może więcej, niźli tomy najrzetelniej przemyślanych, matematycznie oczywistych dedukcyj politycznych. Inteligent wypokracza się w narzuconym mu gorseciku masońskim, karmi się masońską tandetą — z braku czegoś, coby silniej przemówiło do jego uczuciowości. Tam, choć nie dają mu tego Boga i tej Wiary, których pragnie, ale dają mu słodkawy *Ersatz* Boga i Wiary, a poczciwy inteligent godzi się. — Bóg, choćby wstydliwie, od zakrystji, za przepustką wprowadzony — i to jest coś warte, można tem już żyć... Podobnie jak Francja ustami Barrés'a tak i Polska może wykrzyknąć: „Potrzeba nam świętych“. — Gdy ci się zjawią, nie pomogą już najbardziej bohaterskie wytrząsania najdostojniejszemi masońskiemi siwemi czuprynami. Inteligent nie będzie już pamiętał, że kiedykolwiek była masonerja na świecie.

Nie wątpię ani na chwilę, że duch katolicki Polski kryje w sobie pokłady wielkiej mocy i świętości, które wyjawią się w czynie i dadzą światu znać o sobie. Kto obserwował godne i mądre zachowanie się naszego duchowieństwa w ciągu całego trudnego okresu pomajowego, musi tę wiarę podzielać. — Ale nie wszystko jest zrobione; takt, mądrość, rzetelne pełnienie obowiązków — to na dzisiaj za mało — duch katolicki musi zdobyć się na wielkie, bohaterskie uderzenie w samo serce zwątpienia, na przebicie potęgą swej miłości i wiary wrót do duszy rzesz. — I na to nas stać niewątpliwie. — Jeśli ustaniemy w wysiłku — ten wielki ogień uczuć, którym jest dusza naszej inteligencji, mimo wszystko dalej gorzeć będzie. Ale już nie Polskę będzie on wówczas ogrzewał.

JAN EMIL SKIWSKI

DRAMAT TWÓRCZOŚCI ŻEROMSKIEGO

(Dokończenie)

WRACAJĄC do przerwanego wątku (ob. nr. 14) przypominam, że wypunktowałem kilka rysów elementarnych w psychice Żeromskiego, danych mu od natury, wychowania i sposobu życia. Pozostaje dodać, jak te właściwości wyraziły się w jego charakterze pisarskim.

6. Rys pewnej „dzikości“, zaznaczony przezemnie na początku, odgrywał w naturze Ż-go dużą rolę. Wiązał się on jaknajściślej z charakterem jego umysłowości i musiał mieć swoje konsekwencje w sposobie ideowego traktowania spraw społecznych. Wskazałem również w biografji jego, że w młodszych latach nie był człowiekiem światowym, stronił od ludzi i tak się zresztą składało, że chodził obrzeżami życia, zaglądając w nie jakby przez szczelinę i tem jaskrawiej widząc to, co mu się przytrafiło widzieć.

A dalej — trzeba związać z temi rysami i ten fakt z dziejów jego wychowania jednostronnego na wzruszeniach estetycznych, że im więcej duszę wzbogacał ich rezultatami, obciążając niemi pamięć, tem mniej ćwiczył umysł w myśleniu dyskursywnem.

Jednostki z rozwiniętą w kierunku myślenia oderwanego umysłowością są dyskursywne i dla otoczenia swojego. Są to umysły, panujące świadomością intelektualną nad swemi stanami duchowemi, operujące zapasami wiedzy i argumentów, jakby wymienną gotówką. Ż. nie wyrobił w sobie zdolności djalektycznych. To, co miał w sobie, było, jak już mówiłem, własnością zbyt osobistą i poufną, aby pozwolił komuś do tego się dotykać. To właśnie krępowało go w stosunkach z ludźmi i zwężało widnokrąg. Zupełnie źle się czuł w towarzystwie szerszem, wśród ludzi mało sobie znanych. Otwierał się w kółku dobrych znajomych. Przytem — z faktów życiowych to widać — cenił wysoko przyjaźń ludzi sercem wybranych, którym mógłby bezwzględnie zaufać. Była to potrzeba niemal fizyczna duszy nazbyt zamkniętej.

Ideałem poufności dla takich natur jest stosunek miłosny. Stąd wogóle rola kobiet kochanych w życiu poetów, wynikająca z przywileju bezwzględnej poufności. Miłość pozwala im rozszerzyć swoje przeciążone życiem uczuciowem „ja“, znaleźć afirmację dla swojej prawdy uczuciowej, która nieraz w zamknięciu trawiąc się złudną przybiera postać, męczy umysł halucynacjami. Jest to potrzeba tak subjektywna, wynikająca nie tyle ze świadomości uczuciowej, ile — rzecby można — z uczucia uczuć trawiących artystę, że ten nie dba o precyzyjność lustra, które chce mieć w kobiecie, ani o to, żeby wzajem być dla ko-

biety powiernikiem — wystarcza mu poufność miłosna, jako wyładowanie psychiczne. Stosunek miłosny przedstawia dla takich natur, jak Żeromski, szczególną wartość jako moment folgi, a przez to wzmożenia osobistego. W uczuciu miłosnem drzemiące potencjały wzruszeniowe odżywają, nabierając świeżych zabarwień radości bądź tragiczności. Ponieważ owe bogactwa odżywają w miłości przez głębokie wzruszenia ustrojowe, dlatego tak często spotyka się w utworach tego typu artystów zabarwienie obrazów i myśli uczuciowością seksualną.

Z tego, co powiedziałem o nieśmiałości Żeromskiego, wynika, że zdany był w sprawie poznania i myślenia społecznego na łaskę i niełaskę tych najbliższych, przed którymi duszę otwierał. Trudno było do duszy jego się dostać, ale kto się dostał, ten w duszy jego gospodarował. Wynikało to stąd, że łatwo mu było w pewnych warunkach zaimponować w rzeczach, co do których sam czuł się słaby. Spragniony był zwłaszcza widoku wyższych postaci życia duchowego. Uczoność, doświadczenie społeczne, zdolność ideowania, zwłaszcza fanatyzm budziły w nim podziw. Stawał wobec perspektyw myślowych, jakby miał przed sobą pejzaż. Nie tyle pociągała go ich treść, ile ich forma a zwłaszcza zabarwienie uczuciowe. Bez tła uczuciowego nie można sobie wyobrazić żadnego zainteresowania w tego typu umyśle. Dostać się można było do przekonania Żeromskiego nie argumentem, lecz w drodze poruszenia wzruszeniowego. A zaczynało się od tego, że wymieniał myśl tylko z tym, z kim mógł wymieniać uczucia, z tym, kto zdobył sobie przez zaufanie sympatję jego — dostęp uczuciowy. Wtedy wszystko, co posłyszał, zapadało w jego duszę, wywołując afirmację, daleko idącą w kredyty logiczne, nawet moralne. Kredyty, płynące z tej łatwowierności, nie były długoterminowe; trwały dopóki Żeromski nie nabrał odrazy do przedmiotu swego podziwu. O zwrocie zaś w kierunku sympatji czy antypatji decydowały nie poglądy, lecz uczucia osobiste. Przyjaźń zawiązywała się, jak i miłość, za instynktem rozszerzania się indywidualności uczuciowej przez oparcie jej o kogoś zaufanego. Z chwilą nadwyrężenia stosunku uczuciowego następowała likwidacja i życzliwości i wiary w to, co dawniej wydawało się prawdą bezwzględną.

Robię nacisk na tę stronę charakteru dla tego, że stanowiła słaby punkt młodej inteligencji owego czasu, w który uderzała z powodzeniem propaganda radykalizmu socjalnego. Atmosfera oporu przeciwko państwowości zaborców, w połączeniu z prądami krytyki socjalnych stosunków, i konspiracji na tem tle wytwarzała podstawy zasadniczego pesymizmu w poglądach na życie, a z drugiej strony wiązała uczuciowo natury do tego pesymizmu podatne z obozem radykalnym, który głosił walkę ze złem, podsuwał wyobraźni środki prosto wiodące do celu i w dodatku dawał oparcie organizacyjne, nieraz, jak to pokazał Ż-i w „Popiołach“ — niepozbawione poetyckiej fantastyczności.

Żeromski, traktujący sprawę socjalną ze stanowiska patrjotycznego, zaufał temu ruchowi i dał się z nim związać. Nie wymagano od niego niczego, rylko tworzenia literackiego. W tym kierunku iść było mu tem łatwiej, że — jak wyżej zaznaczyłem — książka Żeromskiego miała swój byt odrębny, na który sam autor patrzył jakby ze zdziwieniem. Odpowiedzialność, jaką mogłaby ponieść skromna i bojaźliwa osobistość jego, nie pozostawała w prostym stosunku do konsekwencji, wynikającej ze skombinowanego działania talentu i prądu społecznego, w który książka wpadała.

Do Żeromskiego należał tylko jego świat uczuć. Rozumowa strona twórczości z ideami społecznemi (odgrywająca tak wielką rolę w jego powieściach) była nie jego. O ile mocny był w legitymowaniu się artystycznem ze swych wzruszeń, o tyle w ideach społecznych stał na gruncie konwencji ze swojem otoczeniem, które mu na pejzaż społeczny tak a nie inaczej kazało patrzeć. Jego własne było tylko nasilanie barwami momentów uczuciowych, które bardziej odpowiadały jego potrzebie tkliwości, smutku i udręki. Pomimo że podejmował w pismach kwestje socjalne i zajmował chętnie stanowisko ideowo-społeczne, jednak z psychiki swojej nie był typem działacza—choćby w przybliżeniu podobnym do Prusa. W pisarzu istotnie społecznym tłem stosunku do środowiska jest zasadnicza miłość człowieka i to bezpośrednia. Nie może zaś o takim stosunku być mowy wtedy, gdy jednostka odgradza się zasadniczą antypatją do całych sfer zjawisk i ludzi.

Potrzebne to było naturze Żeromskiego, żeby w społeczeństwie widzieć zło i cierpienia, potrzebne do pogłębiania smutku. Antypatja szuka w doktrynie uzasadnienia, niejako rozgrzeszenia, że nie bada prawdy, że nie ma potrzeby uczuciowej badania. Doktryna walki socjalnej jest łaską dla pewnych natur, które się dobrze czują dopiero w pozycji wobec społeczeństwa negatywnej. Propaganda doktryny na tej podstawie psychologicznej wynajduje dla siebie rzeczników wśród artystów.

Jednostki żywotne szukają spotęgowania swoich sił w uspołecznieniu uczuciowem, w rozwoju swego daru sympatyzowania z życiem. Jeśli to życie jest nieszczęśliwe—jak było w niewoli—wtedy cierpią jak Prus, ale twórczość iść będzie w kierunku szukania radości życia. Dla natur takich, jak Żeromski, nie może mieć żadnego znaczenia fakt objektywny, że to życie się poprawiło, że niepodległość polityczna stała się dobrem społeczeństwa. Tem się tłumaczy, że nie odczuliśmy w Polsce szczęścia z poprawy losu. Nastąpiło to w czasie, kiedy umysłowość, zwłaszcza w drukowanem słowie wyrażająca się, pozostawała pod wpływem pisarzy i działaczy tego właśnie typu.

7. Gdyśmy już sobie uprzytomnili ważniejsze elementy duszy Ż-go, weźmy do ręki jedno z jego dzieł, pisanych w wieku dojrzałym w pełni rozkwitu duchowego. Oto „Słowo o bandosie“, napisane w r. 1907. Autor miał wtedy 40 lat, wiele dzieł znakomitych za sobą, a w sobie najwyższe napięcie myśli społecznej. Był to właśnie okres rewolucji, w której czynny brał udział, jako protektor ruchu ludowego, nawet agitator w okolicach Nałęczowa.

Bandos (robotnik rolny wędrowny) za swego kraju kieleckiego, gdzie zginąłby z głodu, dąży na zarobek w „pszenne kraje“ — w Lubelskie, gdzieś pewno w okolice Nałęczowa. Swój kraj kielecki autor przedstawia jak pustynię (jałowe sapy), a ów „pszenny kraj“ w złośliwym cudzysłowie — to kraj bogaczy. Im wysługują się bandosi. W opisie tej pracy na pięknej tej ziemi, która kiedyindziej miałaby dla Żeromskiego powab poetycki dobroczynnej żywicielki, możemy łatwo rozpoznać, jak rewolucyjnie działały zasugerowane poecie idee na jego własne poczucie rzeczywistości. Ponieważ sympatje swoje skupił na bandosie, żeby je uwydatnić i pociągnąć za sobą w tym kierunku czytelników, wszystko dokoła podmalowuje antypatją. A więc „słońce pali bandosa grzbiet, zgięty od switu do wieczora. Twardy jest trud cało-

dzienny na skwarze w pańskiem polu". Słońce, owe łagodne i upragnione w Polsce słońce, autor przedstawia tak, jakby rzecz się działa w Egipcie w „Faraonie" Prusa. Ono zawsze pali, noce są parne, bandos pracuje „od zorzy" — do wieczora. Najgorsze zaś to, że pole jest „pańskie". Bandos oczywiście nie śpiewa inaczej, tylko tak: „Dobrze temu dobrze, kto komu łeb odrze, jeszcze temu temu lepiej, kto kogo oślepi"...

Oto dola wyrobnika: „Lał się z bandosa pot cuchnący, w szmaty zgrzebne i w rudą jego sukmanę przez wieki. Żarło go robactwo i osaczała ze wszech stron choroba tajemnicza—żeby pańskie dzieciątko jasnie świeciło zdrowem ciałkiem i galanto uczesanemi włoskami... Wycałowały jego usta jakoby nowe rany w Pana Jezusa przebitych nogach po kruchtach, żeby jaśnie pan dostojnie mógł siedzieć przed Bogiem we stalach, dumnie a pewnie spozierać na cichy swój lud, a pięknego przygładzać wąsa. Taka jest przez wieki nasza rzeczpospolita".

Mamy w tym kawałku ideologję społeczną, która na uwagę zasługuje jako wzór surowego prymitywu myślowego. Ten sam deseń bez tej stylizacji literackiej znajdujemy w mowach wiecowych dla fornali dworskich. Na całą cywilizację polską pada z tych słów cień antypatji: „taka jest przez wieki nasza rzeczpospolita". Na to, by wyprodukować owo socjologiczne „żeby" wstawione dla oznaczenia, że cywilizacja cała rośnie cierpieniem mas ludowych, Żeromski musiał przekreślić w sobie cały swój historyczny i poetycki pogląd na rozwój tej cywilizacji. Miał przecież (i nie przestał mieć) w naturalnem na świat spojrzeniu sympatyczne miejsce i dla słońca palącego, i dla ziemi pszennej, i dla znoju pracy (który mu teraz cuchnie) i dla sukmany szarej a koszuli zgrzebnej (któremi tutaj zgrozę siać usiłuje), i dla stóp Chrystusa wycałowanych, i jasnych włosow panicza a wąsów szlachcica, twórcy wielkiej cywilizacjI polskiej. Coś się działo w jego umysłowości, że nie potrafił, jako pisarz, objąć całości świata w jednym harmonijnym poglądzie.

Jak zaznaczyłem z początku, najwybitniejszym rysem jego umysłowości była naturalna reprospektywność. I to go robiło poetą i historykiem. Oblicze Żeromskiego zwrócone było w przeszłość, skąd rodem były jego wspomnienia i tradycje ojcowskie. W Wiernej rzece", w „Wietrze od morza" mamy widok właściwej jego postawy. Były to momenty, kiedy zapominał o swej misyjności społecznej, którą mu narzucano jak kajdanki. Duch czasu z „nowinkami" i konspiracjami zaszedł drogę człowiekowi czasów wiecznych i wynajął go sobie za powieściopisarza. On go wewnątrz połamał sprzecznością.

Dla czego to stać się mogło, starałem się wyjaśnić psychologicznie. Ten duch czasu nowego, duch końca 19 wieku, wchodzący w Polsce w modę w czas ów, kiedy Ż-ki ze szkoły kieleckiej przybył do Warszawy i począł drukować, dał mu zadania konstrukcyjne, polegające na kombinowaniu takiej przyszłości społecznej, któraby w niczem nie była podobna do przeszłości.

Powiedziano mu, że trzeba świat zbudować na nowo i odwrotnie przez oddanie steru proletarjatowi. Życie jest walką nie jednostek, jak się uczył w przyrodniczym na świat poglądzie realistów pozytywistycznych, którzy byli organicznikami, lecz klas uciemiężonych z ciemiężącemi. Wszystko jest na drodze postępu do zrobienia nie w drodze ewolucji, lecz sposobem rewolucji przez dobre zorganizowanie proletarjatu i celową walkę, przepiera siłą, mechanicznie stary porządek.

Żeromski, jak o tem była mowa wyżej, nie miał odpowiednich warunków w swojej naturze na takiego mechanika życia społecznego. Zbywało mu na wyobraźni czynu, bo nie miał w sobie na to statecznej energji biologicznej. Więcej widział za sobą, niż przed sobą, całą zaś energję umysłową zużytkował na gospodarkę wewnętrzną w bogatych składach swych przyżyć osobistych.

Naukę nowości, naukę planów i horoskopów Żeromski brał z dziecięcą łatwowiernością od tych, którzy potrafili dostać się do jego ufności. Szczegółowa biografja dostarczy danych, kiedy i komu zaufał, kto prymitywne idee narzucił mu do wykonania w sposób, że już wymotać się z nich nie mogł. Nazwijmy tę rekę duchem czasu.

8. Dramat twórczości Stefana Żeromskiego był głębszy, niż twórczość jego na polu dramatu. A rozróżnić w tym dramacie trzeba dwa motywy: 1) sugestję umysłową, której z łatwością się poddawał, nie mogąc w sobie znaleźć dość siły krytycznej i 2) moment moralny zniewolenia.

Pierwszy z tych dramatów polegał na tem, że istotnie ów duch czasu zaskoczył romantyka, którym jest każdy poeta, w stanie bezbronnym. Na djalektykę ideologiczną nie miał broni ani naukowej, ani własnej z wypracowania duchowego. Przychwytał go ten duch czasu na studjach naturalistycznych, kiedy duch poetycki nie znalazł jeszcze swej osi metafizycznej, koło której krystalizuje się każda istność moralna, dążaca do wyższych uświadomień. Mógł absorbować idee nowe tylko w kształtach najprostszych, w takich, jak je bierze tłum, zdatnych do ujęcia uczuciowego. Wystarczała jego tkliwości poetyckiej idea uciemiężenia, aby z tego stanowiska sympatji dla proletarjatu ujrzeć świat w nowem uogólnieniu.

Nie pierwszy Żeromski załamał ręce nad doliną łez. Każdy bodaj głębszy poeta przechodził kryzys prometejskiego wzruszenia; tędy idzie droga do wielkości poetyckiej. Ale prometejskiego problemu zbawienia nikt nie rozwiązał na gruncie materjalistycznego na świat poglądu. Złudzeniem było socjalizmu, że do takich operacyj socjalno-ekonomicznych można wprzęgać prometeuszów bez połamania im skrzydeł.

W tym samym czasie określania się kierunków (narodowego i socjalistycznego) około r. 1890 przeżywał ten sam problem Kasprowicz. Ten sam duch czasu trenował go w szkołach. Ale był to organizm żywotny. Potrafił zapanować myślą wykształconą nad swoim systemem uczuciowym i doprowadził do tego, że sam decydował o swej drodze. Wyzwolił się z więzów doktryny, w którą już był uwikłany. Już był pogłębił w sobie pogląd materjalistyczny (przełożył Lukrecjusza „*De natura rerum*"), należał do organizacji socjalistycznej, a jednak wszystko to przezwyciężył w nim, zdeptawszy doktrynę, genjusz życia.

Genjusz życia, którego znakiem świetlistym jest poezja, dąży do wydobycia ludzkości z niedoli duchowej i materjalnej przez rozwój w sposób współdziełczy w łamach cywilizacji narodowej wiekowych przekazów pracy pokoleń. Rozmach planów cywilizacyjnych, nadający polot myśli ludzkiej, dawał jednocześnie prometejskie natchnienie poezji, tym prądem oczarowanej. Poezja, oskrzydlona wiedzą i religijnem uczuciem, była siłą idealizacyjną ducha tej cywilizacji, jego marzeniem o wszechpotędze i możności zbawienia wszystkich.

Poeta w służbie doktryny materjalistycznej, zwracający się w walce frontem przeciwko swojej cywilizacji, traci ten wylot idealistyczny, zabijając w sobie intuicję zmysłu moralnego. Żeromski, w przeciwieństwie do Kasprowicza, który swoją linję znalazł w przeżywaniu zagadnień moralnych, stanowiących o istocie ducha tworczego i wartości całej cywilizacji, stał się poetą zewnętrznych zagadnień cywilizacyjnych. Rezygnując z tych dziedzin, karmił wyobraźnię surogatami cywilizacji zewnętrznej, raczej technicznemi. Przypomnijmy sobie jego program w „Słowie o bandosie" pełen kooperatyw, domów, szkół itp., utopijne plany zbawienia w „Dziejach grzechu", widmo szkoły w „Przepióreczce", w „Róży" itp. — wszystko to są puste nazwy instytucji — i to wziętych ze starego świata — bez żadnej wskazówki, czego one mają w człowieku dokonać. Żeromski, zmuszony do roli działacza, wytykającego drogi, obraca się ciągle w zaczarowanem kole starych form, myśl jego nieporadnie krąży koło akademji, muzeów, bibljotek, szkół, współdzielni, ale nie umie znaleźć nowej treści życia. Bohater „Róży" zapytany przez młodzież o prawdę wewnętrzną, odparł wprost, że tego im powiedzieć nie zdoła.

Myśl Ż-go w ostatnich utworach coraz wyraźniej staje się niepewna dróg, jakby zbita z tropu i błądząca bezdrożami. Próbuje drogi poza dobrem i złem (Dzieje grzechu), probuje kultury, to znów dróg pozaspołeczeństwem. Dość przytoczyć epizody z „Dziejów grzechu", aby sobie uprzytomnić, jak na tem bezdrożu szwankuje poczucie moralne. Gdy Ewa na Korsyce robi wyznanie, że zamordowała własne dziecko, młodzieniec (typ dodatni) uspakaja jej sumienie argumentem, że Napoleon, z tego tutaj Aiacio, wymordował kilkadziesiąt tysięcy ludzi i żyje w chwale u potomnych. Duch czasu wyraził się tu miarą ilości.

Dramat tworczości Żeromskiego, jak rzekłem, pogłębił się motywem zniewolenia. Ginął jako poeta z tej samej ręki, która mu jako pisarzowi zapewniała doczesne powodzenie. Środowisko polityczne, które talenty jego eksploatowało, odbierało mu krytycyzm, tworząc koło niego legendarną sławę, cokolwiek napisał, a potem dobrze mu dawało odczuć, że jest ze swem powodzeniem uzależniony od niego. „Duch czasu", ucieleśniony politycznie, trzymał go ręką Pochronia.

9. Dzieło literackie Ż-go przejdzie do dziejów literatury polskiej jako bogaty materjał do badań kultury duchowej i prądów w jego czasach, a tylko w pewnej części jako trwały pomnik sztuki. Zadaniem krytyki będzie określić, co w jego dziełach stanowi tę wartość. Bezkrytyczne sądy współczesnych nie mogą w błąd wprowadzić historji, bo i one poddane będą ocenie. Krytyka dokona w jego dziełach rozgraniczenia między tem, co jest wartością istotnie poetycką, a tem co było tylko Żeromskiego „literaturą". Druga grupa będzie miała wartość względną; daje ona zapewne świadectwo jego uzdolnieniom literackim, zasobności wiedzy, dobrym chęciom społecznym i żarliwości wobec haseł, ale Żeromski przejdzie do historji jako poeta, jako mistrz słowa, wypowiadający swoje przeżycia bezpośrednio w uczuciu osobistem przetrawione. Od tego wydzielenia trzeba zacząć. Kto chce zbadać w twórczości Żeromskiego i obliczyć nie ilość wytworu, lecz jakość jego talentu, ten musi dokonać tego rozgraniczenia.

Żeromskiemu przypadła w udziale powieść, a w powieści moment ilościowy ma nieraz decydujące znaszenie. Powieść, oprócz wzruszenia artystycznego, które bywa, daje interesujące czytanie, które być musi. Z ogółu dzieł Ż-go oddzielić trzeba to, co dawał do czytania, od tego, co jego samego wzruszało w tworzeniu, bo było częścią jego istoty. Wydzielimy w ten sposób, nieraz z wnętrza powieści, poezję; i ta poezja, choćby stanowiła ilościowo w sumie małą część wytwórczości, będzie tem dziełem Żeromskiego, w ktorem można doszukać się właściwego oblicza twórcy.

Podziału tego dokonał właściwie już J. E. Skiwski przez wytknięcie w Żeromskim granic tych dziedzin, które nazwałem kombinacją literacką. W dwu rozprawach, ogłoszonych w „Myśli Narodowej*) Skiwski zanalizował dzieła Ż-go ze stanowiska filozoficzno-społecznego. Mniej więcej pokrywa się ten zakres ujęcia z tem, co odpowiada w mojem określeniu pojęciu „literatury" u Żeromskiego. Wyniki pracy Skiwskiego stwierdzają, że wartość tej literatury jest względna, nawet mała, czasem ujemna; że wielkość Ż-go na tym fundamencie jest legendą, którą czas rozwieje.

„Oczekiwać należy — pisał Skiwski — że spokojniejsze, bardziej historyczne, niż propagandowo-entuzjastyczne podejście do twórczości Ż-go, prócz korzyści teoretycznych, które niewątpliwie przyniesie, pozwoli nam wyjść poza kanciastą alternatywę, z którą zbyt często jeszcze się spotykamy: przyjąć czy odrzucić dzieło Żeromskiego? Odpowiedź może być jedna: przyjąć z plonu literackiego naszego pisarza to, co ma mocne fundamenty... co jest prawdy rzetelnem ujęciem i przedstawieniem" *).

Mojem zadaniem w tym szkicu było wskazać, w jaki sposób orjentować się należy w plonie literackim Ż-go, aby dotrzeć do twardego gruntu i co należy uważać za fundament jego twórczości. Błędna byłaby metoda, któraby się zadawalała oceną polityczną czy społeczną idej w powieściach i dramatach zawartych; byłby to raczej brak metody. Zabiegi tego rodzaju koło dzieł Ż-go mogły być użyteczne, gdy były w swoim czasie pociskami publicystycznemi. Teraz te pociski są w muzeum historycznem. Żeby poznać Ż-go, trzeba je rozebrać i odtworzyć go sobie metodą psychologiczną.

Pokaże się, że do wszystkich dzieł, które próby czasu nie wytrzymują jako całość, zużywał wiele cennego kruszcu poetyckiego, a mistrzowstwa artystycznego tem więcej do roboty stosował, im mniej wart był materjał myślowy. Tem się tłumaczy pierwsze wrażenie, jakie wywoływał każdą swoją pracą bez względu na jej wartość.

Nie zawodziło go zwłaszcza słowo, którem się posiłkował w suggestji artystycznej. Było to słowo jego wynalazku, w które się wmyślił, idąc za niem wstecz do zródeł, z którego się zrodziło w mowie plemienia. Nie na książkową wagę je brał, ani go nęciło wypolerowane i martwe z powszedniego użytku, ani mu mąciło blasku słowa polskiego porównywanie z obcem (którego znał mało); on je widział rodzące się w życiu, z przyrody stosunków ludzkich, żywe w jego genezie. Dlatego używał z upodobaniem gwary „inteligenckiej" współczesnej, że był przy jej rodzeniu i była mu żywą.

To słowo bujało wszędy, gdzie je posiał. Nieraz ono jedno dawało złudzenie życia, tam, gdzie nie było wewnątrz prawdy wewnętrznej. Na źle zbudowanych chybionych, jeszcze w rumowisku pomysłach wykwi-

*) Kilka myśli o Żeromskim i Żeromszczyźnie, nr. 30, 32 i 33 z r. 1926, oraz „Żeromski—nauczyciel", Nr. 4 i 5 z r. 1927.

*) Kilka myśli... (Wyd. osobne) str. 27—28.

tało ono kwiatem, dającym pozór życia całej kreacji. Im trudniejsza mu była robota w konstrukcji myślowej i słabiej odczuta, tem więcej usilności kładł w to słowo, które wtedy stawało się nadmiernie bujne w swej patetyczności. Gdzie zaś czuł się pewniejszy gruntu i nie kombinował, pisząc z uczucia, tam słowo stawało się prostsze i żywsze. I nadeszła smutna okazja, że smutek Żeromskiego trafił na najprawdziwszy grunt w jego duszy — na cierpienia po stracie syna. Trudno w życiu o głębszy związek sympatyczny i lepiej uprawny miłością. Nie cofnął się poeta od schwytania i tego stanu w formę słowa. Była noc w jego duszy, ale owa iskierka radości twórczej i tu nie zgasła, i tu nie darował poeta swemu smutkowi smutków, na który kto inny może nie znalazłby słowa. Jego słowo we „Wspomnieniu o Adamie" było już całkiem proste, jak kamień.

10. Żeromski był poetą i tego trzeba odnaleźć w jego puściźnie. Był poetą, któremu wyobraźnię dała ziemia. Wszystko, co ma w jego dziełach trwałą wartość, powstało z bezpośredniego z nią zetknięcia. Rzeka jego twórczości wzięła swoj początek z Łysicy w pasmie gór Świętokrzyskich. „Puszcza jodłowa" opowiada tajemnicę tego początku u źródła św. Franciszka w pierwszem na świat spojrzeniu naszego poety. Ta góra jodłowa z białym klasztorem u stóp i z cudownem źródłem bijącej w górę krystalicznie czystej wody, którą pątnik oczy przemywa, aby lepiej świat widzieć, była dla niego pierwszą i jedynie trwałą na całe życie rzeczywistością, przybierającą znaczenie symbolu. Dziecinne widzące czucie tajemnic przyrody złączyło się w jego umyśle nierozerwalnie z pierwszą wiedzą historyczną o tej ziemi.

Było coś niezmiernie wzniosłego w tem poczuciu, że głazy na szczycie tej Łysicy, pokazujące dziś na sobie ślady raków morskich, patrzą stąd w niebo przez wieczność. Niegdyś, niegdyś przed setkami tysięcy lat były brzegiem morza, aż dotąd sięgającego, a potem, gdy cały świat na północ leżał pod lodowcami, Łysicy wierzch im się oparł i patrzył po dawnemu w niebo. Przetrwała ona okresy pustyni i puszcz bezbrzeżnych, aż doszło do niej życie historyczne. Wszystko dokoła się zmieniło, a ona trwa, pomnik i symbol wiecznego życia ziemi.

Młody Żeromski z jej szczytu oczyma duszy szukał morza, aż do brzegu polskiego i czuł „wiatr od morza" wcześniej, niż stopy w jego fali zmoczył, nim napisał poemat o tym wietrze. Widział zarazem, stojąc na szczycie Łysicy, że na wschód niema już góry, którаby kogoś wyżej od niego wzniosła, że pierwsza stąd góra to ów Ural, za który wywożono na cierpienia tęsknoty tych, którzy tu pod Łysicą chcieli być wiecznie wolnymi.

Tajemniczy powiew dziejów czuł we włosach. Czuł się tutaj w centrum świata polskiego, gdzie—jak pisał później—najprawdziwsze życie polskie, najpiękniejszy lud, najczystszy duch, najstarsza mowa, gdzie powinien być rezerwat starej cywilizacji polskiej, jako ochrona prototypu cywilizacji, do którego w pochodzie dziejowym trzeba zwracać oczy, czy się drogi nie zmyliło.

Nauczony ducha ziemi, języka, w którym przemawia przyroda, mowy ludu świętokrzyskiego — poszedł w świat płaski z widokiem Łysicy w oczach, rezerwując dla swych tęsknot ucieczkę do niej w chwilach złych. Jak dziecko sukni matki się trzyma, jak człowiek nieśmiały od pieca taniec zaczyna, tak on poczynał wszelkie swoje dzieło od tchnienia puszczy jodłowej. Rzeczywistością pewną jego natchnień było to, co w smugę tych tęsknot wpadało. Duch jego był tak zniewolony swem pochodzeniem, że właściwie rozszerzał się z pożytkiem w dziedziny wiedzy i myśli tylko na szlaku swych tęsknot historycznych. Cała wiedza Ż-go to zagony, zapuszczane na pola nauk pomocniczych do historji, w dziedzinę geografji, prehistorji i dziejów kultury (wiatr od morza), etnologji, a zwłaszcza dziejów języka.

Twórczość Ż-go miała płynąć, jak jego życie, niby rzeka, poczęta u źródła św. Franciszka. Mogła się zasilać coraz nowszemi dopływami ze świata, ale przeznaczeniem jej było dążyć w przyrodzonym duchowi kierunku od jednej wieczności poza sobą do tego morza, które czeka. O takiej rzece, przeznaczeniu ducha wiernej, marzyło się Żeromskiemu. Dramatem jego było, że „duch czasu" kazał mu należeć do tych, co sobie wyobrażali, że można dzieje brać pod włos, a wodę w górę zawracać. Tworzyły się rozlewiska, kazano mu się radować, że woda idzie na byle młyny, z których pożytek był jemu samemu wątpliwy. Nie pozwolono mu być rzeką wierną. Smutek jego pojono żółcią złości, aby walka z życiem była tem zajadlejsza. Duch czasu mocował się z duchem św. Franciszka nad owem źródłem natchnień Żeromskiego.

Próżne to i niewłaściwe zajęcie — określać takie zjawiska, jak Żeromski, jakiemś mianem, wziętem od nazwy obozu. Naród go zrodził, naród po nim spadkobierze. Wszystko to się działo w łonie narodu. I ci i tamci do narodu należą. Dramat Żeromskiego jest dramatem narodowym inteligencji polskiej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

TEATR W POLSCE A TEATR WE FRANCJI

IM GŁĘBIEJ się bada literaturę polską stulecia ubiegłego, tem wyraźniej widać, że jest to literatura „dynamiczna" *). Chcę przez to powiedzieć, że umie ona tworzyć mity i symbole, w które wcielają się i w których ożywają ideje, na podobieństwo mar z Odyssei napojonych krwią zwierząt ofiarnych. Umie ona również (ma w sobie tę moc) symbole owe i owe mity uaktywniać, czynić je czynnemi, sprawiać, że oddziałują na duszę każdego, kto się z niemi zetknie. Właśnie dzięki temu „dynamizmowi" swojej literatury Polska żyła za czasów niewoli nie tylko tradycją i nadzieją, lecz także wszystkiemi siłami żywej rzeczywistości.

Pojęcie „dynamizmu" określa jednak literaturę polską tylko poniekąd. Cechą wybitną genjuszu polskiego (nadającą mu niekiedy pozory zewnętrzności) jest jego osobliwa, nader malownicza wyobraźnia, a także zamiłowanie do ruchu i do światła.

*) Tytuł artykułu prof. Strowskiego, powinien właściwie brzmieć: „Dynamizm sceny polskiej i analityczność sceny francuskiej". Znakomity uczony francuski, profesor Sorbony, członek Akademji nauk moralnych i politycznych w Paryżu, napisał go dla „Myśli Narodowej" po krótkiej bytności w Warszawie, gdzie się zapoznał z naszą sceną, bez możności atoli wniknięcia w tajniki żywej mowy polskiej, której nie zna. Charakter jednak literatury polskiej dobrze jest znany prof. Strowskiemu z przekładów. Wielbiciel Mickiewicza dał wyraz temu znawstwu, choćby w przedmowie do polskiego przekładu swego „Obrazu literatury francuskiej", który wyszedł przed kilku laty w Warszawie w dwu tomach.

Wracając z Warszawy przejeżdżałem w pogodny poranek niedzielny przez Księstwo Łowickie. Widziałem po drodze na tle kwitnących grusz i jabłoni kobiety wiejskie w jaskrawych wełniakach, w barwnych gorsetach i wstążkach, oraz chłopów w pasiastych spodniach i krótkich spencerach. Twierdzę stanowczo, że lud, który w smutnych czasach dzisiejszych zachowuje ubiór tak świetny, tak oryginalny i tak kolorowy, stworzony jest poprostu do rozkoszowania się światem zewnętrznym.

Dwie tedy cechy charakterystyczne, a mianowicie dynamizm i zamiłowanie do malowniczości znamionują mojem zdaniem teatr polski dzisiejszy, a prawdopodobnie będą znamionować także jutrzejszy.

* * *

Widziałem w teatrach warszawskich „Wieżę Babel“, „Farysa“, „Pana Twardowskiego“ oraz zgrabny przekład „Adrjanny Lecouvreur“. Obejrzałem także dokładnie (od strony kulis) scenę Teatru Polskiego.

Wróciwszy do Paryża, byłem na przedstawieniach dwuch sztuk, które powinny były być wystawione w sposób zbliżony do inscenizacyj polskich. Sztuki te to „Złoto“, dramat historyczny dzielnego poety Pawła Fort'a oraz „Montparnosy“ (*„Les Montparnos“*) utwór Michała Georges-Michel'a, który nam przypomina marzenia pierwszych kubistów z kawiarni *„de la Rotonde“*. Nietylko opłakiwałem brak obrotowej sceny, pozwalającej mnożyć ilość odsłon oraz przyśpieszać zmianę dekoracyj — a zatem potęgującej sceniczne złudzenia, lecz nadto wstyd mi było z powodu ubóstwa efektów świetlnych, słabych, martwych, pozbawionych wibracji. O poruszaniu się i grupowaniu statystów wogóle lepiej nie mówić.

A jednak w parę dni później w Komedji Francuskiej ujrzałem, że i u nas teatr potrafi zdobywać się na widowiska potężne i bogate. Wystawiono dramat Musset'a *„Lorenzaccio“*. Pomimo dwudziestu ośmiu odsłon — grano go jednym ciągiem, bez przerwy. Pokazano nam obraz Florencji medycejskiej zarówno poetyczny i patetyczny, jak wierny.

Ośmieliłbym się zakonkludować, że teatr francuski dał się wyprzedzić polskiemu pod względem inscenizacji. Stało się to jednak bynajmniej nie wskutek braków materjalnych, lecz wskutek tego, iż widz francuski głuchszy jest znacznie od polskiego na malarską wymowę dekoracyj i gotów jest paść w teatrze oczy byle jaką strawą optyczną.

Pośpieszam podkreślić, że uważam to za niższość, pomimo nawet, że niższość tę wynagradza do pewnego stopnia większa ostrość przyjemności intelektualnej i większe wydoskonalenie w kunszcie pisania i kompozycji.

Istnieje jeszcze jedna, (a może raczej istniała, ponieważ smak dzisiejszy ulega szybkim zmianom) jeszcze jedna głęboka różnica pomiędzy teatrem polskim a teatrem francuskim. Różnicę tą widać w tematach sztuk, w zagadnieniach przez utwory teatralne poruszanych.

Teatr francuski wczorajszy (tak samo zresztą jak teatr francuski wieku siedemnastego) był przedewszystkiem teatrem analitycznym. Analizował uczucia i namiętności, obyczaje i ideje. Dawna publiczność teatralna francuska interesowała się w teatrze wyłącznie analizą.

Ani liryzm romantyczny, ani pomysły melodramatu nie znalazły nigdy u publiczności naszej powszechnego uznania. Znawcy drwili sobie z tyrad Wiktora Hugo, wyszydzali sytuacje, wymyślane przez Dumasa-ojca. Smak francuski o tyle tylko toleruje żywość akcji i powikłania intrygi, o ile pozwalają one przedstawić rozwój namiętności i o ile dają pole do analitycznego studjum indywidualności.

Prawda, że analiza nie zasklepia się sama w sobie, że nie zawsze ma na celu wyłącznie samą siebie. Wrodzoną jednak cechą przeciętnego Francuza jest, że tak powiem, utylitaryzm moralny, — popęd do szukania we wszystkiem co widzi, lekcji właściwego postępowania. Bez względu na to, czy patrzy na życie, czy też na teatr — w teatrze zaś, jeszcze bardziej aniżeli w życiu — pragnie z patrzenia odnieść tę samą korzyść, jaką mu dają bajki Lafontaine'a.

Nie widzę specjalnej potrzeby zwracania uwagi na skutki owych rozbieżnych tendencyj obu teatrów. Pragnę jednak zaznaczyć, że teatr francuski, szkoła moralnego empiryzmu i analizy, równie mało dba o dynamiczność, jak o malowniczość. To właśnie różni go biegunowo od teatru polskiego. Mógłbym zresztą z równą słusznością przenicować to określenie i powiedzieć, że teatrowi polskiemu nie dostaje tej analizy, tej psychologji i tej — powiedzmy — użyteczności moralnej, która cechuje arcydzieła Moljera, Rasyna, Marivaux, d' Augiera i Dumasa młodszego.

* * *

Nie chciałbym stawiać tez zbyt kategorycznych, zdaje mi się jednak, że przyszłość Francji sprzeniewierzy się własnej przeszłości. Następstwa wojny zmusiły nas do porzucenia starych zagadnień moralności jednostkowej i do zajrzenia w tajniki bytu. Symbolizm, czyli dynamizm zaczyna pojawiać się i na naszej scenie. *„La Cavalière Elsa“* Mac Orlan'a w przeróbce teatralnej Demazy'ego i *„Jean de Maufranc“* Juljusza Romains'a grany przez Pitojewów, zdają się (nie licząc paru innych sztuk nowych) być zwiastunami nowego kierunku w teatrze francuskim, kierunku mającego pewne cechy wspólne z twórczością dramatyczną Wyspiańskiego, może zaś nawet z Krasińskim.

Z drugiej strony znowu świeże doktryny psychologiczne skłaniają nas do badania tych regjonów psychiki ludzkiej, do których słowo logiczne dotrzeć nie jest w stanie. Wobec tego autorowie nowocześni starają się przekroczyć granice analizy i posługują się przeróżnemi sposobami ekspresji malowniczej. Mam na myśli przedewszystkiem *„Tête de rechange“* J. V. Pellerin'a oraz *„l'Amour magicien“* R. H. Lenormanda. W obu tych sztukach inscenizacja posiada doniosłość bardzo znaczną. Bogactwo dekoracyjne i ruch na scenie są tu niezbędne i zbliżają te widowiska do gustu polskiego.

Polska znów prawdopodobnie będze musiała zwrócić swą twórczość teatralną w kierunku odwrotnym. Zagadnienia abstrakcyjne literatury wczorajszej będą musiały ustąpić miejsca ścisłym problematom życia praktycznego i moralności powszedniej. Polska doścignie niewątpliwie Francję w połowie drogi, zawsze jednak zachowa jako rodzimą specjalność przedstawianie w teatrze dynamizmu dusz ludzkich, podczas gdy Francja pozostanie mistrzynią w analizowaniu indywidualności.

Kończę już, obawiam się bowiem, że jeszcze chwila, a zacząłbym bawić się w proroka. Postęp ducha ludzkiego jest przecież tak kapryśny, iż niepodobna rozwoju zdarzeń przewidzieć dokładnie. Pewne jest jedno: wcześniej czy później stanie się to, co stać się powinno. Lecz kiedy i jak? — To wie tylko Bóg.

FORTUNAT STROWSKI

PIOTR CALDERON DE LA BARCA

ŻYCIE JEST SNEM

Dramat w sześciu fragmentach

Dzień Pierwszy, Scena VI. — Królewscy Siostrzeńcy. Infantka Estrella i książę Astolf, prześcigają się nawzajem w dwornem powitaniu króla Bazylja. Król opowiada im dzieje swego syna Segismunda, który wychował się w więzieniu dla uniknięcia straszliwych przepowiedni przy jego urodzeniu. Początkowe kwintylje przechodzą w „verso de Romance".

SCENA VI.

Król BAZYLJO ze świtą. ASTOLF. ESTRELLA, DAMY, ŻOŁNIERZE.

ESTRELLA Talesie...
ASTOLF Euklidesie...
ESTRELLA Co gwiazdy...
ASTOLF Co zodjaki...
ESTRELLA Sprawujesz...
ASTOLF Rządzisz w bezkresie...
ESTRELLA Ich drogi...
ASTOLF Ich gwiezdne szlaki...
ESTRELLA Znasz...
ASTOLF Z wiedzą twoją czas niesie...

ESTRELLA O pozwól w kornem wylaniu...
ASTOLF Pozwól w tkliwem powitaniu...
ESTRELLA Jak bluszcz objąć nogi Pana.
ASTOLF Ścisnąć ciebie za kolana.
BAZYLJO Miłość obojga mi znana,

Siostrzeńcy! bądźcie szczęśliwi,
Stłumcie swarliwe podszepty —
A gdyście spełnić gorliwi
Moje miłosne recepty,
Wieść jedna — równie was zdziwi.

Zgrzybiały, gdym przeżył tyle,
Złamany jarzmem starości —
Proszę, uciszcie się chwilę —
Dziw stłumcie — a ja w cichości
Dziejów wam rąbka uchylę.

Wszak wiecie (czujnie słuchajcie, siostrzeńcy moi kochani,
Prześwietny Dworze mój polski, wasale, krewni, poddani),
Wiecie jak słynę szeroko, nosząc znak mędrca pieczęci,
Dla wiedzy mojej głębokiej, wbrew latom i niepamięci.
Bazylim zowią mnie Wielkim, wbrew próchnu grobowej deski,
Białe marmury Lizyppa, Timanta pędzle i freski.
Wszelako z nauk sławetnych najbardziej kocham i cenię
Subtelną matematykę, co zwalcza czasu przestrzenie;
Co pysznej odbiera sławie jej godność i przywileje,
I co dnia głębiej przenika wszechświata ustrój i dzieje.
— Kiedy źrenicą zdumioną oglądam w mędrca tablicach
Wielką przyszłości nowinę — czas staje dla mnie w granicach.
Odbieram wiekom pierwszeństwo, ich odkryć przywłaszczam prymy:
Te śnieżne koła, te kręgi, te szklanych sfer baldachimy,
Które dzień światłem zalewa, miesiąc rozdziela w obrotach;
Te światy,—całe z djamentów, globy—w kryształnych pozłotach.
Gwiazd korowody je zdobią, płomienne słońc koczowiska;
— To moja wiedza na starość, to mego szczęścia kołyska;
To moje księgi. — W nich Niebo na djamentowym papierze,
Na foljałach z szafiru, w dobitnej ognia literze,
Pisze wiersz złoty wydarzeń, ludzkiej nagrody lub kary.
— Czytam je z całą biegłością, duchem wybiegam w obszary.
Ich ruch kulisty rozważam we wszystkich skrętach i zwrotach
Zły los lub chwałę niemylną zgaduje w gwiazdy przelotach.
Lecz zanim umysł mój stał się, w myśl tajnych niebieskich życzeń,
Gwiazdzistych Ksiąg komentarzem, rejestrem bożych wyliczeń—
Życie me gniewu Pańskiego pierwsze przyjęło wylewy,
I w mojej własnej tragedji poznałem najpierwsze gniewy.
(Bo nieszczęsnemu i cnota—to nóż przytknięty do serca,
A kogo wiedza otruła — ten sam swój własny morderca.
Z życia to mówię—wnet sami dojdziecie klęski natury).
Słuchajcie tedy rozważnie, a milczcie — proszę raz wtóry.
— Synem mnie darzy nieszczęsnym żona, odbywszy połogi,
Którego przyjście niebiosa znaczyły palcem przestrogi.
Bo nim na piękne dnia światło wyjrzał z mogiły żywota,
(Tak blisko sobie pokrewne kolebka i śmierci wrota),
Matkę przeraził rodzoną, w majaczeń i przyśnień zjawie,
Drapieżny, zły i krwiożerczy — hydra w człowieczej postawie.
Szarpał matczyne wnętrzności, aż cały krwią się zczerwienił,
I śmieć jej zadał, i rosnąc w gadzinę wielką się zmienił.
— Nadeszła chwila narodzin — i losy z wróżbą się zgodzą,
Bo rzadko, a nawet nigdy ponure wieszczby zawodzą.
I stanął straszny horoskop, bo słońce w krwawe łun pasy,
Całe purpurą ociekłe, weszło z księżycem w zapasy.
Ziemia im drogę zabiegła, więc dwie niebieskie latarnie
Pełnego światła pożogą walczyły z sobą poczwarnie:
Padło najsroższe zaćmienie, jakie glob ziemski przestrasza,
Odkąd krwią słońce na niebie płakało śmierci Mesjasza.
Świat spłonął żywym pożarem, — zdało się w chwilę najdalej
Buchnie ostatni paroksyzm i ziemię wylękłą spali.
Niebo się mrokiem zasnuło, trzęsła się domów podstawa,
Deszczem padały kamienie, rzek woda stała się krwawa.
— W takich to słońca konwulsjach, w takim ucisku ludzkości,
Przyszedł na świat Segismundo i dał świadectwo swej złości.
I stwierdził czynem okrutnym, śmierć srogą zadając matce:
„Patrzajcie, jestem człowiekiem—wszak zbrodnią za dobre płacę!"
Szukałem w księgach wyjaśnień—tam stało, jak w świecie całym,
Że Segismundo zostanie człowiekiem dziwnie zuchwałym,
Tyranem, najsroższym z książąt, nędznikiem w szacie monarszej;
Że swoje państwo poszarpie, na mnogie części rozdarłszy,
Kraj jego — szkołą przekupstwa; występków, zdrad akademją;
A on—w porywie szaleństwa—podepce, zrówna mnie z ziemią...
I ujrzę siebie, zgiętego pod stopą (ach, lepiej nie rzec!)
A syn mój—z siwych mych włosów uczyni sobie kobierzec!...
(Któż zwątpi o prawdzie klęski, gdy grom jej jasny jak świeca,
Gdy upewniają ją księgi, gdy miłość własna podnieca?)
I jam uwierzył, jak w słońce, w zwiastuny gróźb namacalnych,
Co mi zagubę i klęskę niosły w proroctwach fatalnych.
— Postanowiłem uwięzić zaledwie zrodzone zwierzę,
I sprawdzić, czy rozum mędrca siłę złym gwiazdom odbierze.
Więc poszły wieści, że Infant zrodzony na świat — nieżywy.
A wprzód wzniesiono w tych górach trzon wieży twardopokrywej;
W załomach i górskich szyjach, gdzie nie dochodzą dnia błyski—
Tak gęsto drogę zaległy stłoczone skał obeliski.
Wydałem groźne edykty, co głoszą najcięższe kary,
By nikt nie ważył się wstąpić w wyklęte górskie obszary.
(Bo wyrok, o którym mówię twarde nakłada wymogi).
Tu żył do dziś Segismundo wzgardzony, nędzny, ubogi.
Jeden go Klotald odwiedzał na dnie kamiennej pieczary,
On go w naukach wyćwiczył, umocnił w zasadach wiary;
On jeden więźnia nakarmił, wodą napoił z manierki...

Przełożyła z hiszpańskiego

BARBARA ZAN

LIBERUM VETO

Nasz zwierzyniec. — Kaganiec dla prasy. — Pożądane jego uzupełnienia. — Odszkodowania za konfiskaty. — Przeszkody pożyczki zagranicznej.—Zmielona ordynacja wyborcza.

NARESZCIE Warszawa ma prawdziwy zwierzyniec. Znajdują się w nim rzadkie okazy różnych gadów drapieżców, grzechotniki, boa-dusiciele, krokodyle, lamparty, hyjeny, wilki, lisy, śmierdziele (skunksy), obfity dobór małp, zwłaszcza długoogoniastych, które zwieszają się na wszelkich gałęziach, dla których przygotowano osobne winnice w ogrzewanych szklarniach, ażeby mogły dogadzać swojemu wrodzonemu popędowi do nocnych rabunków. Zwierzyniec ten utrzymywany jest przez spółkę akcyjną, której udziały są w posiadaniu socjalistów, radykałów, żydów, sanatorów. Różni się zaś od innych podobnych przedsiębiorstw tem, że jego sztuczne okazy nie poprzestają na pożeraniu dostarczanej im aż do przesytu żywności, lecz korzystając z otwartych bram i zupełnej swobody, dla wzmocnienia ruchem i rozweselenia rozrywką czynią napady na cudzą plantacje, gdzie wyrządzają znaczne szkody i psoty. Walka z niemi jest trudna i bezskuteczna. Bo naprzód pokrywdzeni nie są zabezpieczeni żadnem prawem i nie posiadają odpowiedniej broni, powtóre szkodniki są uzbrojone groźnie i korzystają z bezkarności. Ktoś n. p. zechce wypędzić skunksa: wtedy ten ostrzyknie go tak cuchnącą cieczą ze swych gruczołów, że obryzgany nie zdoła uwolnić się od jej wstrętnego odoru najstaranniejszem umyciem. Wiadomo, że jednego z uczęstowanych w ten sposów podróżników afrykańskich opuściła żona, która nie mogła wytrzymać jego strasznej woni. Nasze skunksy na to liczą, że nie tylko przeciwnika obmierzią, ale przetną jego najścislejsze związki. Gdy znowu ktoś złapie w potrzask pawiana lub lisa, musi go wypuścić. Nie podaję adresu owego zwierzyńca, gdyż jego miejsce wraz ze szczegółowym wykazem całej menażerji znajduje się w spisie organów naszej prasy.

Wkrótce ma ona otrzymać kaganiec w postaci dekretu. Będzie on niewątpliwie pożyteczny. Zdaje mi się jednak, że należałoby uzupełnić go wieloma ostremi przepisami. Bo dla zabezpieczenia wolności słowa nie może wystarczyć odpowiedzialność autora, redaktora, wydawcy, zecera, drukarza, należałoby również zagrozić karami ich żonom, dzieciom, wnukom, prawnukom, krewnym pierwszych linij bocznych, przyjaciołom, przypadkowym gościom w drukarni podczas składania i odbijania skonfiskowanych tekstów, a wreszcie prenumeratorom i roznosicielom. Wtedy dopiero ustaliłaby się w naszym najdemokratyczniejszym ustroju państwowym doskonała harmonja. Bez niej odzywać się będą ciągle rozdźwięki. Przypuśćmy, że jakaś bojówka zażąda, ażeby, podczas śpiewania „Pierwszej brygady", wszyscy mieszkańcy powiadomieni przez radjo, natychmiast powstali w swych prywatnych lokalach, a śpiący w nocy byli zbudzeni; przypuśćmy dalej, że jakiś zuchwały dziennik ośmieli się nazwać to żądanie, już nie mówię — bezczelnem, ale niegrzecznem. Czy można podobne nadużycie tolerować? Czy dla zapobieżenia wybuchom słusznego gniewu nie należałoby zastrzedz w ustawie: „Winni siedzenia w prywatnych mieszkaniach lub niebudzenia śpiących podczas śpiewu „Pierwszej brygady"...

Jeśli rząd narazi prywatnego obywatela na jakiekolwiek straty, ma poszkodowany prawo żądać wynagrodzenia. Konfiskata numeru gazety przez cenzurę naraża wydawcę na stratę, jeśli przeto sąd uzna ją za niesłuszną, wydawca mógłby wymagać odszkodowania. Tak rozumują niektórzy filozofowie naszego życia polityczno-społecznego i rozumują logicznie. Ale zachodzi jedna okoliczność, która nie zaleca tego dochodzenia. Według rachunku prawdopodobieństwa, dokonanego na podstawie ostatnich wyborów w gminach miejskich i wiejskich, „sanatorzy" których nawet ich krewniak i przyjaciel, „Robotnik" stawią pod pręgierzem i stempluje ich miedziane czoła rozpalonem żelazem, stanowią około 2-3 procent ogółu ludności. Zatem w wypadku, jeśli konfiskata czasopisma odpowiadałaby interesom i przekonaniom tego ułamka, to w stosunku do wielkiej reszty stanowi znakomitą i dość tanią reklamę. Za stratę skonfiskowanego numeru gazety wydawca jest wynagrodzony jej rozsławieniem i powinien być z tego odszkodowania zupełnie zadowolony. Zważyć przytem trzeba, że gdyby rząd musiał płacić za zbytnią gorliwość cenzorów, z pewnością albo dostalibyśmy nowe podatki, albo nastąpiłoby głębsze naruszenie równowagi budżetu.

A tego unikać należy ze względu na trudność uzyskania pożyczki zagranicznej. Wszyscy bankierzy a zwłaszcza, amerykańscy są ludźmi z zanikłem sercem a przerośniętym mózgiem, w najwyższym stopniu niegrzeczni, grymaśni i wymagający. Ubogie Włochy, które za całą rękojmię bezpieczeństwa zaciągniętych długów przedstawiają tylko praworządność, ład i pracę, otrzymały wprawdzie z Ameryki 200 miljonów dolarów pożyczki; bogata Polska nie może dostać nawet połowy tej sumy. Sprowadzaliśmy wprawdzie dwukrotnie Kemmerera i biegłych finansistów, którzy wzięli miljony za konsyljum nad chorą Polską, nic jej jednakże nie pomogli.

Z wielkiej chmury spadł mały deszcz. Nasza najgłupsza ordynacja wyborcza, jaką dotąd mózgi ludzkie zdołały wymyślić, w większości społeczeństwa budzi gniew lub odrazę. Na tych uczuciach i na rzeczywistych szkodach, jakie ten poroniony płód wyrządza naszemu życiu politycznemu, oparł się zamiar przeprowadzenia w sejmie zmiany ustawy, głównie w trzech punktach: wprowadzenia cenzusu wyborczego, zastąpienia list jednomandatami i zmniejszenia liczby posłów do połowy. Ale naszych wodzirejów politycznych nie obowiązuje ani arytmetyka, ani logika, ani dynamika, ani wogóle żadna nauka, oni mają swoje własne „instrumenty dowodzenia". Gdy projekt reformy poszedł na młyny partyjne, gdy go zaczęto przerabiać, rozgniatać, przepuszczać przez kamienie, walce i pytle, zamiast czystej i pożywnej mąki, powstała stęchła, zaśmiecona, rozpylona kurzawka, cenzus przepadł, listy wyborcze pozostały, a liczba posłów zamiast o 200 ma być zmniejszona o 20. Na taką mysz szkoda było nasypywać wielką górę piasku słów. Nowa ordynacja będzie tyle warta, co dotychczasowa i z niej wyjdzie taki sam sejm jak obecny. Zarówno ta sprawa, jak ostatnie wybory do gmin miejskich, zwłaszcza w Warszawie, dowiodły niezbicie, że nas z manewrów partyjnych na prostą drogę rozwoju państwowego mógłby wyprowadzić jakiś Mussolini, o którego zresztą wcale nie łatwo. Nam nie uczestnikom, ale świadkom tego obrzydłego jarmarku, wrzasku, targów, szacherek i całego handlu partyjnego pozostaje tylko jeden środek ratunku od zupełnego zwątpienia: ciągłe powtarzanie sobie: *contra spem spero*, — bez nadziei mam nadzieję.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ORGANIZACJA MASONERJI W LIDZE NARODÓW

ORGAN centrum niemieckiego „Germanja“ przynosi wiadomość, zaczerpniętą z pism masońskich, o zamiarach zorganizowania masonów, należących do Ligi Narodów. Organizację przeprowadzić ma brat Valot, dziennikarz, członek zarządu międzynarodowej federacji dziennikarzy, należący do loży Wielkiego Wschodu „*Persevérance*“. Międzynarodowy sekretarjat masonerji jest już według „Germanji“ przeniesiony do Genewy. Sekretarjat ten, utrzymujący kontakt z masonerją całego świata, udziela dyrektyw „braciom“, należącym do poszczególnych delegacyj państwowych, którzy w ten sposób, obok instrukcyj, otrzymywanych od własnych rządów, otrzymują z drugiej strony instrukcje od swej władzy masońskiej. Którym dają pierwszeństwo?

Szczęśliwe Włochy, które nie wahały się postawić jasno zasady, że niema władzy, której wolno stanąć ponad władzą państwową.

„Germanja“ porusza sprawę utworzenia, w celu przeciwdziałania masonerji, międzynarodowej organizacji katolickiej, złożonej z dziennikarzy i dyplomatów katolickich wszystkich krajów. Myśl ta nie jest już nową. Poruszał ją przed paru laty Karol Maurras, przywódca monarchistów francuskich, proponując zwołanie wielkiego anglo-francuskiego kongresu katolickiego, przeciwstawiającego się masonerji. Projekt, rzucony przez „Germanję“, nie ograniczający się do pewnej tylko grupy krajów i przewidujący utworzenie stałej organizacji, należy uznać za szczęśliwy.

W każdym razie znamienne są te wciąż powstające projekty międzynarodowej organizacji przeciwmasońskiej.

PO POGRZEBIE

UROCZYSTOŚCI na cześć Słowackiego odbyły się w czasie, kiedy prasa, głosząca hasła uzdrowienia moralnego Polski, rozbawiona była widokiem rozpaczliwych wysiłków obozu narodowego w celu ochronienia polskiego charakteru instytucyj samorządowych.

Wybory według niej mają udowodnić, iż Polska jest państwem narodowościowem, nie zaś narodowem. Każde zwycięstwo Żydów lub innych mniejszości witane było w Warszawie salwami oklasków. Ta sama prasa mianowała Słowackiego Królem - Duchem, tym właśnie duchem, który już był w Piastach i dał podstawy duchowi cywilizacji polskiej—nie na to przecież, aby w 20-em stuleciu jej się zaprzeć.

Ten Słowacki przeto, królom równy, przez to że ukazał prawo rządów ducha narodowego, nie mógł być w tym obozie właściwie zrozumiany. Nie wiedziano, czy chowają króla, czy rewolucjonistę. Z dwu formuł: Król-Duch i Duch Rewolucjonista uczyniwszy zrównanie, chowali Króla-Rewolucjonistę. Zginął gdzieś Duch.

„Gazeta Warsz. Por.“ przytacza opis moment kulminacyjnego uroczystości z krakowskiego dziennika „Ilustr. Kurjera Codziennego“ w tych słowach:

„Na dziedzińcu wawelskim, gdy z ust marszałka Polski padły pamiętne słowa: „W imieniu Rzeczypospolitej polecam panom przenieść trumnę Juljusza Słowackiego do grobów królewskich, aby królom był równy!“ — nieliczni na podwórzu obywatele stali stłoczeni, jakby strwożeni. Ofcerowie przystąpili do trumny i ponieśli ją do katedry wawelskiej, policja zaś bezzwłocznie odcięła wejście do katedry dla publiczności. Przy dźwiękach ostróg wojskowych, odbijających głośnem echem w opustoszałych nawach katedry, zniesiono Juljusza Słowackiego do krypty.

„Puste ulice — pusty Rynek krakowski — świadek od 1000 lat wszystkich największych uroczystości narodowych — pusty dziedziniec arkadowy Zamku Wawelskiego — pusta katedra królewska“. (nr. 184).

Kraków, a z nim Polska cała przypominają sobie dwie tego znaczenia uroczystości, które naród urządzał w tym Krakowie w czasach niewoli: pogrzeb Mickiewicza 1891 i obchód Grunwaldzki 1910 r. Były to zdarzenia dziejowe podniesienia ducha narodowego. Mamy żywo w pamięci ten drugi obchód. Nad masami, których pomieścić nie mógł Kraków, zapanowała myśl jasna obrony od przemocy germańskiej. Dziwna była technika tej kolosalnej demonstracji narodowej. Jedno bowiem uderzyło wszystkich—nie było wcale policji. Tłum sam się organizował i straż pełnił. Organizowała go wielka myśl. Naród był sobą.

Wschodnia iście rozrzutność grosza i wschodni ceremonjał—tamtego uroku obrzędowi zapewnić nie mogły. Był to jakgdyby pogrzeb Firdusi'ego, twórcy „Księgi Królewskiej“ (Szach Nahme), któremu po śmierci szach Mahmud chciał złotem zapłacić.

Gdyby naród był sobą, jak przystoi zachodowi, Słowacki spocząłby w Krzemieńcu, a legenda o polskim Królu Duchu, uwieńczyłaby obłokiem chwały krzemieniecką górę królewską. I tu za Słowackiego była cywilizacja zachodnia. A dziś nawet Wawel staje się wschodni.

JESZCZE W SPRAWIE LEKTURY DLA MŁODZIEŻY

DO UWAG wyrażonych w artykule p. t. „Niepowołany wychowawca“[1]) pragnęłabym dorzucić jeszcze słów parę. Chodzi tu bowiem o rzecz nader ważną, bo o to, jakiemi walorami etycznemi mamy karmić naszą młodzież. Z omawianego artykułu wynika jasno nawet dla tych, co powieści Kaden-Bandrowskiego nie znają, iż ideologja tych powieści przepojona jest tym typowym, niwelacyjnym humanitaryzmem, który topi w hasłach chimerycznej równości i chimerycznego braterstwa wszelkie mocniejsze, a więc wyodrębniające się, wierzenia i ukochania. W okresie pozytywistycznym obowiązywała wyznawców tej ideologji jakaś niedościgła, doskonała zupełnie tolerancja religijna.

Dla ilustracji tego nastroju przytoczę fakt autentyczny: Oto w czasach owych w gronie nauczycielskiem, przy układaniu wypisów stylistycznych dla młodzieży, ktoś zakwestjonował w dziale prozy religijnej ustęp z rozprawki „O miłości bliźniego“, w którym znajdowały się słowa modlitwy chrześcijańskiej, a zakwestjonawał w imię zasady, iż niczyich uczuć religijnych ranić nie należy, układana zaś książka może się przecież dostać do rodzin obcych ideałom chrystjanizmu. Dziś dla wyznawców tak szeroko pojętej tolerancji straszakiem stał się nacjonalizm i militaryzm. Od sentymentalnego kultu dla rodziny przerzucają oni pomost do mglistego umiłowania wszechludzkości: omijając starannie mocną, drogą wszelkiemu zdrowemu sercu koncepcję o j c z y z n y, jako zbyt ciasną wobec ich rozlewnych ale też i bezkostnych ideałów, które nieraz wspierać się muszą na zupełnie sztucznem rusztowaniu. Oto próbka tej sztuczności: Dla zbudowania podstaw do filosemickiego nastroju w powieści Kaden-

[1]) „Myśl Narod: nr. 11 b. r. Artykuł J. Rembielińskiego na temat książek J. Kadena-Bandrowskiego p. t. „Miasto mojej matki“ i „W cieniu zapomnianej olszyny“.

Bandrowskiego należało stworzyć najpierw pojęcie czynnego antysemityzmu, więc autor tworzy je na zmyślonem, nierealnem rusztowaniu nienawiści do Żydów, która jakoby tryska z serca bohatera powieści. Mielibyśmy jednak prawo zapytać, czy mogła ona istnieć naprawdę tak żywiołowo u dziecka, które chyba jej z piersi matki nie wyssało. Wyrosło bowiem w domu raczej filosemicko nastrojonym, skoro w nim rolę nauczyciela, a więc poniekąd wychowawcy powierzono właśnie Żydowi. To zjawisko konstrukcyj psychologicznych nierealnych, naciąganych celowo, jest w wielu analogicznych wypadkach spotykane.

Jak zaznaczyłam już powyżej, zwolennicy ideologji tego typu będą oczywiście przeciwnikami zaciętymi tego wszystkiego, co nie niweluje, lecz wyodrębnia, co mętnym ideałom jakiegoś nieokreślonego ściślej międzynarodowego zbratania przeciwstawia cnoty obywatelskie, o dynamice wyrazistej i mocnej. Będzie ich dławiła troska wobec rzekomej nietolerancji i ciasnoty cnót owych.

Faktów charakterystycznych, podkreślających dobitnie stan umysłów, o którym tu mówimy, nie brak. Do najznamienniejszych może należy naganka, jaką pewne koła czy też ugrupowania naszego społeczeństwa urządziły w dobie obecnej na twórczość Sienkiewicza. Często w rozmowach i dyskusjach wyczuwana, przybrała ta naganka formę konkretną ubiegłej jesieni (na łamach „Gazety literackiej"). Dość pouczającym zbiegiem okoliczności w tym samym numerze, w którym artykuł naczelny umieszczał Kaden-Bandrowski, wśród pisarzy najgoręcej zalecany jako lektura dla młodzieży, autor artykułu „Wymowa cytatów" zażądał usunięcia ze szkół T r y l o g j i a szczególniej „Ogniem i mieczem", jako powieści awanturniczych, w których młodzież spotyka się z pochwałą „szabelki i karabinu", z idealizacją „pijaków, kłamców, samodzierżczych królewiąt", z opisami walk bratobójczych (obyż tylko z powieści dowiadywała się o nich!) i z fałszowaniem prawdy historycznej przy postaci Wiśniowieckiego.

Jak widzimy, garść zarzutów niemała! W ferworze oskarżycielskim zapomniał autor omawianego artykułu, iż obok kłamców i pijaków mamy w T r y l o g j i i rycerzy bez trwogi i skazy, i że ich muszkiet i szabelka nie ku czemu innemu, jeno ku obronie ojczyzny służyły. Nie zdaje się on również pamiętać, że prawda historyczna w ścisłem, naukowem znaczeniu tego słowa, nie obowiązuje i nie obowiązywała nigdy poetów od Homera począwszy i że owa sfałszowana postać księcia Jeremiego uczyła jednak całe pokolenia składać ofiarę z ambicyj osobistych na ołtarzu Ojczyzny i głosiła dobitnie, iż deptanie władzy i majestatu Rzeczypospolitej jest zbrodnią.

Wybór lektury dla młodzieży—to sprawa zupełnie pierwszorzędna i warto jej poświęcić baczną uwagę. Przy wyborze tym należy pamiętać, że jesteśmy narodem postawionym skutkiem zbiegu politycznych okoliczności na szańcu bardzo zagrożonym. Do obrony tego szańca potrzeba stałego, wytrwałego, ofiarnego bohaterstwa, którego podstawowym elementem silna wola i serce, wiedzące dobrze, co nadewszystko kochać powinno. Ani tej woli ani tego serca nie stworzą chimeryczne hasła niezniszczalnego, bo mętnie pojętego, humanitaryzmu, podprawione sosem „rodzinnych" wyłącznie czułości.

MARJA DYNOWSKA

¹) Nr. 18 — 1926 r.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Sejm wobec rządu. — Społeczeństwo wobec „sanacji" — Zmiana ordynacji wyborcze u nas i we Francji.

JEST faktem niewątpliwym, że rząd marszałka Piłsudskiego nie posiada w Sejmie nie tylko większości, ale nawet jakiej takiej mniejszości, na którą mógłby rachować, która udzielałaby szczerego, bezwzględnego poparcia jego planom. W ostatnich dniach komisja prawnicza Sejmu j e d n o m y ś l n i e uchwaliła zniesienie drugiego z kolei, ogłoszonego przez rząd „dekretu prasowego", komisja konstytucyjna i wojskowa j e d n o m y ś l n i e — wbrew opinji rządu — uchwaliły wniosek, niedopuszczający wojskowych do udziału w wyborach samorządowych, komisja administracyjna niemal jednomyślnie (przeciw głosom jednego tylko Stronnictwa Chłopskiego) wypowiedziała się za odroczeniem zarządzonych przez rząd wyborów do rad gminnych w województwach wschodnich. W sensacyjnej raczej, niż doniosłej sprawie wprowadzenia liczników telefonicznych w Warszawie, p. minister Miedziński także chyba na poparcie ze strony Sejmu liczyć nie może...

I to również jest faktem niewątpliwym, że w swym krytycznem stosunku do rządu, Sejm jest zgodny z opinją olbrzymiej większości społeczeństwa. Ostatnie wybory na prezydenta i wiceprezydentów m. Warszawy okazały wymownie, jak dalece drobna grupa t. zw. „sanatorów" jest odosobniona, jak — poza Żydami — nikt nie pragnie wiązać się z nią jakiemkolwiek porozumieniem. Zaś w wyborach samorządowych miejskich i wiejskich, odbywających się w rozmaitych częściach kraju, listy „sanacyjne", reklamujące zawsze swoją łączność ideową z rządem i jego szefem, ponosiły wszędzie porażki, pomimo ogromnych funduszów, zużywanych na agitację wyborczą. Okazuje się, że dla osiągnięcia zwycięstwa przy wyborach nie wystarcza samo posiadanie pieniędzy...

Ale mimo tej zbieżności stanowiska Sejmu i nastrojów opinji, zgodnych całkiem, gdy chodzi o ocenę polityki rządowej, autorytet Sejmu w społeczeństwie bynajmniej nie wzrasta, niechęć i nieufność do stronnictw sejmowych trwa podawnemu. Nie wypływa to jedynie z pamięci o błędach przeszłości, raczej z tego, że niektóre przynajmniej stronnictwa ciągle jeszcze „bardzo mało nauczyły się i bardzo mało zapomniały".

W opinji publicznej już oddawna panuje przeświadczenie, że oparcie ustroju Polski na systemie reprezentacyjnym tylko wówczas będzie możliwe, jeśli sposób powoływania Przedstawicielstwa Narodowego ulegnie zasadniczej reformie. Niestety, wszelkie śmielsze projekty zmiany ordynacji wyborczej, wysuwane przedewszystkiem przez Związek Ludowo-Narodowy, nie znalazły u większości stronnictw poparcia i — jak dotąd — wszystko pozostaje tak, jak było. Nawet drobne bardzo, a wyraźnie przez interes Państwa dyktowane projekty naprawy natrafiają wśród szeregu ugrupowań sejmowych na sprzeciwy. Wywołuje to w społeczeństwie słuszne, zrozumiałe rozgoryczenie.

We Francji przed kilku dniami uchwalono zmianę ordynacji wyborczej do parlamentu, przekreślając dotychczasowy system częściowej proporcjonalności i powracając do zasady okręgów jednomandatowych. Reformę tę przeprowadził — wbrew głosom ugrupowań umiarkowanych — „kartel lewicy", który doszedł do wniosku, że w ten sposób najlepiej potrafi zabezpieczyć swoje partyjne interesy. Tak we Francji, gdy wymagał tego interes partji, grupy radykalno-lewicowe

i socjalistyczne nie zawahały się wyrzec całej swej demokratycznej frazeologji, „podstawowych“ teoryj i „zasad“. U nas, gdzie wyrzeczenia tego domaga się interes Narodu, stronnictwa lewicowe nie potrafią się na nie zdobyć.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

WIELKI REALISTA

AMBASADOR Francji czasu wielkiej wojny w Piotrogrodzie, Maurycy Paléologue, gdy był praktycznie zajęty polityką, często odrywał się od niej i, dając folgę swoim upodobaniom literackim, pisywał powieści, życiorysy znakomitych poetów (Dante, Alfred de Vigny), sławnych kobiet i t. p., a nawet wkraczał w dziedzinę sztuki (Rzym, sztuka chińska).

Obecnie, stojąc poza polityką i dyplomacją, w ich dziedzinie głównie poszukuje tematów dla swoich prac literackich.

Nie wiemy, czy dawniejsze rozrywki literackie p. ambasadora sprzyjały czy też nie sprzyjały jego zabiegom dyplomatycznym, nie ulega wszakże kwestji, że jego skłonnościom literackim zawdzięcza szeroki ogół kilka prac z dziedziny polityki europejskiej jeśli nie rewelacyjnych, to w każdym razie bardzo zajmujących i pięknie napisanych.

Po trzytomowej pracy „*La Russie des Tzars pendant la grande guerre*“, gdzie zużytkował swoje wrażenia i doświadczenia, zebrane na placówce dyplomatycznej w Piotrogrodzie, po opisaniu „tragedji“ Aleksandra II i naszkicowaniu działalności politycznej niektórych dyplomatów ubiegłego stulecia (Talleyrand, Metternich, Chateaubriand), ostatnią swoją książkę poświęcił M. Paléologue twórcy zjednoczenia Italji — K. Cavour'owi. „*Un grand Réaliste-Cavour*“. Str. 327).

O wielkim polityku włoskim niewiele prawdziwie nowego mają do powiedzenia piszący dzisiaj o nim, Paléologue więc nie odsłania nam rzeczy nieznanych, w charakterze moralnym człowieka, jak i w metodach działania męża stanu nic nie wykrywa takiego, o czemby już przed nim nie wiedziano i nad czemby nie rozprawiano. Pomimo to książkę Paléologue'a czyta się z przyjemnością i z pożytkiem dlatego, że jest pięknie napisana, odznacza się harmonijną konstrukcją, umiejętnem rozmieszczeniem materjału i nierozpraszaniem się w drugorzędnych szczegółach; co zaś do pożytku, to wykazuje w sposób dobitny, wyrazisty, jakie cechy charakteru jednostki ludzkiej, jej wartości moralne oraz intelektualne, składają się na męża stanu w pełnem znaczeniu tego wyrazu, jakie metody działania, związane ściśle z owemi cechami, pozwalają małemi środkami osiągać wielkie nieraz cele.

Autor nazywa Cavour'a—„wielkim realistą“. Nic słuszniejszego. Wszystkich jednak głośnych w świecie polityków określano w ten sposób. Każdego polityka, odznaczającego się wybitnem poczuciem rzeczywistości, trzeźwością myśli, umiejącego wygrywać atuty, jakie okoliczności wkładają mu w ręce, przytem zręcznie szachującego przeciwników—zwykło się nazywać realistą. Tem mianem są obdarzani częstokroć nawet tacy politycy, którzy używają wybiegów czerwonoskórych, co prowadzą wieczyście fałszywą grę i chlubią się umiejętnością lepienia wielkich rzeczy z błota, za pomocą grania na nędznych instynktach natury ludzkiej. Realizm Cavour'a różni się głęboko od realizmu tego rodzaju polityków.

Był Cavour mistrzem w grze politycznej (jedno choćby sprowokowanie Austrji do wojny, po uprzedniem zapewnieniu sobie pomocy Francji, daje miarę tego mistrzostwa), nie był wszakże miłośnikiem tej gry dla niej samej, lecz prowadził ją, po gruntownem rozważeniu wszelkich z a i p r z e c i w, wówczas, gdy to stawało się nieodzowną koniecznością; nie wyczerpywała ona całej jego zdolności i umiejętności działania, a przytem wypływała zawsze z wielkiej idei—najskuteczniejszego służenia Ojczyźnie — i zmierzała do wielkiego celu: wyzwolenia Italji z obcego jarzma.

Nie brak było Włochom, w czasach „*Risorgimento*“, wielkich patrjotów, którzy dążyli do tego samego celu.

Mazzini, Garibaldi i w. innych, wszczynali działalność wyzwoleńczą na półwyspie przed pojawieniem się na scenie Cavour'a. Dziś wiemy jednak, że poświęcenia i bohaterstwa patrjotyzmu włoskiego niewieleby same przez się zdziałały, gdyby metoda walki z wrogiem, zainaugurowana przez Cavour'a, nie przyszła im z pomocą, gdyby jego wola i myśl polityczna nie pokierowała w porę ruchem wyzwoleńczym.

Rozdrażniony „realizmem“ politycznym Cavour'a, który coraz więcej znajdował zwolenników na półwyspie, tak o nim wzgardliwie odzywał się Mazzini w słynnym liście swoim do premjera rządu piemonckiego: „Nauka pańska — pisał wielki agitator — opiera się na fenomenie, na wypadku dnia bieżącego; nie masz pan ideału“ („*Al conte Cavour*“).

Wiemy, że było wręcz przeciwnie: Mazzini i Cavour służyli jednemu ideałowi, tylko pierwszy służył mu jednostronnie, nie licząc się z faktami, z wypadkami i warunkami chwili; drugi natomiast syntetycznie pojmowył swoje zadanie: uwzględniał całokształt okoliczności, wśród których wypadło mu działać, liczył się z faktami, żeby nad niemi panować i nie być ich niewolnikiem.

Wysokie przymioty męża stanu, niezwykłe poczucie rzeczywistości, przewidywanie następstw własnych czynów, giętkość i bystrość myśli, urzeczywistnianie tego, co możliwe w danych warunkach a nietracenie z widoku całości ideału, kojarzył Cavour z entuzjazmem gorącego patrjoty, z temperamentem uporczywego bojownika świętej sprawy. Statysta opierał się na „fenomenie“, na zjawisku konkretnem, liczył się z faktami, chociaż na nich nie zatrzymywał się wyłącznie; obywatel i patrjota miał wzrok utkwiony w ideał narodowy, i gotów był na rzecz jego poświęcić nietylko siebie, co robił codziennie, lecz i ten swój realizm polityczny, trzeźwy i przezorny, jeśli to się godziło z duchowym interesem ojczyzny, jeśli chroniło ją od upokorzeń i strzegło od zniechęcenia.

Tak było, między innemi w r. 1848, tak się zachował w 1859 r. po pokoju w Villafranca i t. p.

Tajemnica niezrównanego, syntetycznego realizmu politycznego Cavour'a polegała na tem, iż wyczuwał on niechybnie kiedy, wśród jakich okoliczności, należało reagować na wypadki taką, a nie inną stroną, cechą swego ducha, kiedy trzeba było być powściągliwym i stopniwo posuwać się naprzód, kiedy zaś zrywać się do lotu, wybuchać i iść przebojem.

A duch Cavour'a był nadzwyczaj bogaty, skala jego wartości była ogromna i urozmaicona: silna wola kojarzyła się w nim z jasnym i szerokim rozumem, skupiony zapał z rozwagą i przenikliwą myślą, a wszystko to, poruszane wciąż wielką ideą, nie było wyjałowiane ciasnotą doktrynerską i bezpłodnem fantazjowaniem. Nad tem bogactwem ducha „wielkiego realisty włoskiego“ zastanawia się także ostatni jego biograf. Paléologue, kończąc swoją książkę, powiada, że gdy zda-

my sobie sprawę ze środków osobistych, które umożliwiły Cavour'owi osiągnięcie wielkich rezultatów, to się przekonywamy, że stało się to wskutek połączenia przymiotów, które zazwyczaj są w niezgodzie ze sobą, jeśli bywają zbyt jaskrawe; przymiotami temi były: odwaga i rozwaga, giętkość i uporczywość, wyrachowanie metodyczne i jasnowidzenie przyszłości, jasna inteligencja i potężny polot ducha, żywa wyobraźnia i chłodny rozum, jednakowa zdolność pojmowania idej ogólnych i faktów pozytywnych, interesów materjalnych i namiętności publicznych.

Realizm Cavour'a wynikał w istocie z harmonijnego połączenia powyższych pierwiastków. Od początku do końca swoich wysiłków duchowych, wyrażał tego rodzaju integralny realizm.

Jeszcze na parę godzin przed śmiercią dał mu przedziwny wyraz, zwracając się do tych, co byli świadkami jego zgonu, z następującemi słowy: „Italja jest prawie utworzona... Ten dzielny Garibaldi, nie żywię względem niego urazy. Chce on iść do Rzymu i Wenecji, ale i ja także... Co się zaś tyczy Tyrolu i Istrji, to już jest inna sprawa; będzie to dla innego pokolenia... Myśmy już dość zrobili — stworzyliśmy Italję"...

Tak wiernym sobie do ostatniego tchnienia był ten, prawdziwie wielki, realista!

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

ARTURA GÓRSKIEGO POEMAT WIARY

JEST Artur Górski pieśniarzem

„tej wielkiej Bożej sprawy,
Która być musi wygrana w niebiosach,
Nim ją anieli na tęczowych rosach,
Zniosą na ziemię..."

Zanim jednakowoż czas ów się ziści, pragnie poeta rozgrzać naród tą gorącą miłością, która cel daleki zbliży, która — by słowy jego powiedzieć—„wyciągnie rękę do Człowieka-Brata w wielkiej doli świata i niedoli", do Mickiewicza i w ślady jego pójdzie „na podbój słoneczny" dnia nowego.

Górski jest romantykiem, jest wychowankiem najlepszego wychowawcy narodu, Mickiewicza. Z niego wziął wiarę swą, wziął siłę na pracę, i choć po irydjonowemu wątpić mu nieraz przychodzi w człowieka, nie ustaje w niej, od czasów wystąpień swych pierwszych w „Życiu" krakowskiem po dzień dzisiejszy, prowadząc Polskę na Monsalvat życia.

Jego utwór ostatni „Śluby" trudno nazwać dramatem w sensie tym, jaki pod termin „dramat" podkłada się. Jest to raczej na dużą skalę zamierzony fresk, którego momenty poszczególne są jeno silnemi rysami zakreślone, podczas, gdy inne wykończone z prawdziwą precyzją. Obok dużego szkicu „Dom Naty", subtelny rysunek „Cytadela", obok pysznego obrazu „Na zamku", w którym charaktery Generał-Gubernatora i v. Spahna odcinają się ostro, scena „wyrok" posiadająca w sobie jakąś rozlewność wizyjną. Akcja? Tej właściwie niema: wszystko prawie, co się dzieje, jest przeniesione za scenę. Postrzegamy przeważnie rzecz już dokonaną lub zamiar, który później się realizuje. W utworze tym bohaterowie mówią i rozmowa ta najlepiej odsłania ich duszę. Ale rozmowa w „Ślubach" jest jednem z arcydzieł w literaturze polskiej. Nic tu nie mówi się bezpotrzebnie, każde zdanie wyraża treść, służącą do zrozumienia, do pogłębiania idei poematu. Każde zdanie jest środkiem dla ekspresji duszy. Jest tu duża oszczędność słowa; retorycznych gawędzeń ani śladu. N. p. w przepięknej scenie, gdy Nata i Andrzej poznają swą miłość. Nata mówi: „ja się nigdy nie namyślam, co mam czynić, w ostatniej chwili postanowienie zjawia się i czynię". Tem jednem zdaniem poeta odsłania duszę Naty, jej brak woli, jej brak konsekwencji myśli i czynu; wiemy odrazu, co zdecydowało ją, że chce wyjść zamąż za Rosjanina: w ostatniej chwili postanowiła ocalić więźnia, nieznanego jej, poświęcić swe życie, by on żył. A narzeczony jej, v. Spahn, wyprosi u gubernatora życie skzańcowi.

Ale na brak woli a spontaniczność czynu pod wpływem uczucia i wyobraźni, nietylko Nata choruje; wszystkim brak tego, te wszystkie postaci to Kordjany zdolne do nagłych, nadzwyczajnych czynów — na pracę rzetelną, na pracę konsekwentną brak im sił. Niedarmo wprowadza poeta motyw przedśmiertnego żądania Michała: prosił o stary zegar kurantowy, co gra Polonez Chopina i... „Kordiana". „Niepoprawni romantycy" — powiada gubernator. Oni wszyscy są romantnkami, co działają uczuciem, wyobraźnią i — śmiercią. Jedna p. Joanna odbija od nich, ale — romantyzmem poświęcenia się na długą pracę. I jest coś niezwykłego w sposobie charakteryzowania tych postaci. Rysów indywidualnych brak im niemal zupełnie. To są symbole Polski tej, która była, Polski z przed wielkiej wojny, bezwolnej a idącej na śmierć z triumfem, niezdolnej do pracy, którą się zmartwychwstaje, ale pod wpływem rozbudzonego uczucia, gotowej na nagłe, jednorazowe bohaterstwa. To Polska zrodzona z ducha Kordjana, ale mająca już anheliczne skrzydła, co ją unoszą na groby cichej ofiary z serca.

W tem właśnie, w symbolicznej treści poematu, w przekroju duszy polskiej lat minionych niedawno — a jakże już dawno—mieści się artystyczna jego wartość. Ale jest też ta druga treść ideowa, ściśle z pierwszą zespolona. Wskazanie drogi, co czynić, by Polska żyła w p r a w d z i e: „Śpi kształt Polski w bryle bytu, nieobudzony, spętany bezładem. Tu trzeba młota i rozmachu, kowania trzeba... aby odrzucić to, co nie potrzebne". A młotem tym ma być to samo, co Krasiński widział, mówiąc: „nikt nie stawia gmachu z błota, i najwyższy rozum—cnota". Dla Górskiezo „cnota — to jest walka ducha z ziemią", a walczyć trzeba ze złem „tak, jak się walczy z chorobą". „Serce, serce — to jest ten zbawca, którego nosimy w sobie". Przeszłe pokolenia walkę tę prowadziły — tragicznie, dzisiaj „trzeba wychować nowe pokolenia... do wielkiego dzieła... świat się zbliża do jakiegoś przełomu". Rewolucja go nie ocali, bo rewolucja jest dla Górskiego tem, czem dla Krasińskiego, — zmianą plemienia u steru, zbrodnią, po której przyjdą nowe zbrodnie. I choć w duszy Górskiego budzi się na chwilę tenże pesynizm, co tłukł się w młodym Krasińskim: że *„homo sapiens"* jest strasznem zwierzęciem — umie go przezwyciężyć wiarą, że z poświęcenia tych, którzy umierali za Polskę, narodzi się dzień, gdy cnota świat przeinaczy, narodzi się pokolenie godne spełnić wielkie dzieło. Tym akordem kończąc poemat, pragnie Artur Górski własne ognie przelać w piersi słuchaczy, pragnie z pod rubasznego czerepu wyrwać anielską duszę Polski.

STANISŁAW KOLBUSZEWSKI

MESTWIN

MAŁO komu w świecie literackim wiadomo, że redakcja „Słowa Pomorskiego" w Toruniu wydaje dodatek literacko-naukowy, poświęcony głównie zagadnieniom Pomorza. Zamiarem założycieli tego dodatku było z jednej strony dostarczenie skromnego choćby warsztatu pracy umysłowej dla twórczości naukowej i literackiej pisarzy pomorskich, a z drugiej strony stworzenie łącznika między ogólną kulturą polską a jej miejscową odmianą.

Sam tytuł „Mestwin“ świadczy o kierunku czasopisma. W r. 1282 samodzielny Książę Pomorski Mestwin II, zapisał testamentem politycznym całe swoje księstwo Przemysławowi „z Bożej łaski księciu polskiemu,“ chcąc w ten sposób związać Pomorze na wieczne czasy z Polską. W późniejszych wiekach losy nadmorskiej ziemi polskiej były zmienne. Krzyżacy, Brandenburgja, Szwecja, Danja, a nawet Rosja usiłowały wydrzeć Polsce to pomorskie dziedzictwo.

Gdy w r. 1920 wróciły do polskiej macierzy uszczuplone województwa nadbałtyckie, wyłoniły się nowe, olbrzymie zadania nietylko polityczne, gospodarcze i społeczne, ale przedewszystkiem narodowo-kulturalne. Trzeba było wzmocnić więzy jedności duchowej pomorzan z głównym pniem Narodu Polskiego, a równocześnie torować wśród społeczeństwa drogę dla zrozumienia wielkiej doniosłości ziem nadbałtyckich, jako podstawy mocarstwowej potęgi Polski.

Zamiar redakcji, powzięty w r. 1923, został urzeczywistniony dopiero w r. 1925. Wydany rocznik „Mestwina“, obejmujący zeszyty z r. 1925 i 1926, jest dowodem, że twórcze wysiłki kulturalne Pomorza dążyły do wspólnego łożyska ogólno-polskiej jedności, lecz wnosiły także odrębny, swoisty ton, który może wzbogacić i upiększyć całość obrazu polskiej kultury, jeżeli będzie się rozwijał zdrowo i bez przerwy.

Różnorodność tematów, poświęconych przeważnie zagadnieniom pomorskim, albo oświetlających ogólnopolskie problemy ze stanowiska pomorskiego—świadczy o wielkich możliwościach rozwojowych twórczości kulturalnej na Pomorzu, która opiera się wprawdzie na zdrowym, umiarkowanym regjonalizmie, lecz zawsze szuka łączności i jedności ze swoją macierzą.

Wśród autorów, ogłaszających swoje prace w „Mestwinie“, znajdujemy głównie Pomorzan, jak ks. Alfonsa Mańkowskiego (obecnego prezesa Tow. Naukowego w Toruniu), prof. J. Łęgowskiego (znanego już dawniej w Polsce pod pseudonimem D-ra Nadmorskiego), p. Jana Karnowskiego (cenionego poety kaszubskiego) i wielu innych.

W „Mestwinie“ jest mało t. zw. literatury pięknej, większa część utworów ma raczej charakter naukowy, a trzeba przyznać, że przynosi mnóstwo źródłowych informacyj, wzbogacających naszą naukę. Już dzisiaj zeszyty „Mestwina“ znajdują się w zbiorach i bibljotekach pracowników naukowych nietylko w Polsce, ale i w Niemczech.

„Mestwin“, jako idea i jako realizacja, przynosi zaszczyt redakcji „Słowa Pomorskiego“. Jest on zasługą jednego z najzdolniejszych publicystów, posła Stefana Sachy, naczelnego redaktora „Słowa Pomorskiego“. Przykro pomyśleć, że właśnie tego rodzaju praca, dobywająca Pomorze z pod kultury niemieckiej, spotkała się w Polsce niepodległej z nienawiścią ze strony polskiej, co się wyraziło w urzędowych zakazach czytania „Słowa Pomorskiego“ i w procesach. „Mestwina“ rocznik, leżący przed nami, daje świadectwo prawdzie, kto odbudowuje Polskę.

O LIŚCIE S. GOSZCZYŃSKIEGO

Do Listu Seweryna Goszczyńskiego, który ogłosiłem w nr 15 „Myśli Narodowej“, należy dodać nowe wyjaśnienie. Profesor i rektor Uniwersytetu Wileńskiego, Stanisław Pigoń donosi mi po przeczytaniu tego listu, że według niego pisany on był nie do Zienkowicza, lecz do Lucjana Siemieńskiego. Wśród listów Goszczyńakiego, ktore prof. Pigoń zbiera, aby wydać je w osobnym tomie, znajduje się list do Teofila Wiśniowskiego z 23 marca 1840 r. (a więc pisany jakieś 10 dni przed listem ogłoszonym w „Myśli“), w którym są słowa: „Lucjana ekspedycję wręczyłem, gdzie należało, za kilka dni napiszę do niego“. Niewątpliwie ustęp ten odnosi się do naszego listu i wyjaśnia, że adresatem był Siemieński. Siemieński mieszkał wówczas w Strasburgu i współpracował w „Pszonce“, a jak wiadomo w przyjaźni był z Goszczyńskim. Na Zienkowicza naprowadzała domysł mój notatka w bibljografji Korbuta, że pracował w „Tygodniku Literackim“; odpowiedniej przy Siemieńskim nie znalazłem. Odkrycie to nie zmienia zresztą w niczem znaczenia dokumentu, adresat bowiem gra tu rolę — jeśli chodzi o Słowackiego — uboczną.

Inny szczegół wyjaśniony przez prof. Pigonia, jest ten, że ów Lipowski, wspomniany na końcu listu, to introligator ze Strasburga, który miał do Goszczyńskiego pretensję pieniężną za broszurowanie tomiku „Trzech strun“.

Przy sposobności prostuję błędy korektorskie w moich objaśnieniach: 1) na str. 269 szpalta 2 wiersz 9 tekstu od dołu powinno być „worganizowało“ (nie zorgan); na str. 370 szp. 2 wiersz 33 powinno być „Pszonki strasburskiego, będącego...“ (nie zaś—strasburskiej). Z. W.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Uroczystości na cześć Słowackiego wywołały pewien ruch w piśmiennictwie: drobny w wydaniach książkowych (oprócz tych, które wymieniliśmy w poprzednim zeszycie tylko parę wydań pcpularnych) i pokaźny ilościowo w prasie. Z dzienników najgodniej uczcił Słowackiego „Kurjer Poznański“, odznaczający się wogóle w naszej prasie solidnością pracy. W nr. 284 z 25 czerwca znajdujemy artykuły: Powrót Sł. do Ojczyzny (m), A. Wojtkowskiego „J. Sł. w Poznaniu 1848“, oraz „Sł. w czasopismach poznańskich do r. 1849“, „Zygm. Krasiński o Sł.“(z Tyg. Lit.“ 1841), Tad. Grabowskiego „Sł. a Libelt“, F. Pohoreckiego „Pierwszy pomnik Sł. za ziemiach polskich“ (Miłosław 1899), List Sł. do Bukowieckiej (w Poznaniu), Cz. Kędzierskiego „Rok Sł. w Poznaniu“ (1909), J. G. Pawlikowskiego „Plagjat Makbetowy“, R. Pollaka „Z dziejów kultu Sł. we Włoszech“, Vydry „Sł. w literaturze czeskiej“. J. Birkenmajera „Faust Sł-go“, pierwszy pogrzeb Sł. w Paryżu. „Kurjerowi Pozn.“ należy się uznanie za bogactwo materjału, ale przedewszystkiem za przerobienie materjału miejscowego w związku ze Słowackim.

Naogół w prasie zabawiano się w tanie dytyramby lub sławiono poetę piórem współczesnych poetów.

Na zaznaczenie zasługuje wydanie nadzw. „Czasu“ z 28.VI a w niem artykuły: Jana Łosia „Tajemnice wierszowania Sł.“, S. Windakiewicza „Sł. i Kraków“, E. Paszkowskiego „Stary Krzemieniec“.

W „Słowie Polskiem“ (z 29.VI): Z. Wasilewski „Słowacki i naród“, P. Rybicki „Sł. — poeta ideału“, A. M. „Rola poezji w wyobrażeniu Sł-go“.

W „Wiadomościach Liter.“ nr. 26: Ad. Nowaczyńskiego „Ignis ardens“, St. Kołaczkowskiego „Nowe spojrzenie — nowa zdobycz“.

*

W d. 24 czerwca w Szymborzu nad Gopłem wmurowano w ścianę szkoły miejscowej tablicę bronzową z płaskorzeźbą popiersia Jana Kasprowicza. Front szkoły zdobi napis: „Szkoła im. Jana Kasprowicza w Szymborzu“. Na uroczystość odsłonięcia przybyli delegaci władz szkolnych z kuratorjum, inspektor szkolny z Bydgoszczy, starosta i prezydent miasta z Inowrocławia, delegaci stowarzyszeń, ziemiaństwa okolicznego. Tablicę wykonali uczniowie szkoły zdobniczej w Poznaniu. Napis: „1860 — 1926. Wielkiemu synowi ojczyzny—Uczniowi tej szkoły Janowi Kasprowiczowi — nauczycielstwo pow. Inowrocławskiego 24.VI.1927“. Wygłoszono szereg mów. Nauczycielstwo wydało na pamiątkę broszurkę o Kasprowiczu popularną (po 25 gr.) w 15 tys. egz.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nie wiemy, co spowodowało p. Ferdynanda Goetla do wydania tomu „Humoresek“ (nakład Gebethnera i Wolfa str. 249) napewno bowiem sława jego autorska nic na tem nie zyska. „Humoreski“ te są pisane nadzwyczaj dziarsko, tryska z nich jednak nie szampan dowcipu, lecz najzwyklejsza woda sodowa. Pryska to, syczy i leje się obficie, jak z rynny. Dobre to dla „Warszawki“, poszukującej lekkiej lektury w porze wyjazdu na letniska. Podziwiać jednak można głębokiego autora niezwykłych przeżyć „płonącego Wschodu“, jak szybko umiał przystosować się do smaku i upodobań tego rodzaju „szerszej“ publiczności.

*

Zeszyt 9 „Sztuk Pięknych“ (za czerwiec 1927) pod. redakcją prof. Wład. Jarockiego ukazał się już w handlu. Na uwagę zasługuje : Madonna Warowni Wileńskiej (obraz Matki Boskiej Ostrobramkiej) — napisał Jerzy Remer; 2) Michał Boruciński — Jan Kleczyński; 3) Obraz Siemiradzkiego w Biblio-

tece Uniw. w Warszawie — Zygmunt Batowski; 4) Kronika artystyczna. Numer ozdobia 27 reprodukcyj w tekście, 1 rotograwjura. Cena egzempl. 5 zł. prenumerata kwart. 14 zł.
Administracja „Sztuk Pięknych". Kraków, Wolska 19.

*

„Polski Instytut Teatrologiczny" (niewiedzieliśmy, że mamy jeszcze jeden „Instytut" obok innych, jak np. „Mesjaniczny", i t. p.) zajął się wydawaniem monografij wybitnych artystów scen polskich. Mamy świeżo wydany pierwszy tom, poświęcony jest Helenie Modrzejewskiej, a opracował go p. Franciszek Siedlecki, malarz. Dawno się to należało znakomitej artystce dramatycznej, która sławną była na obydwóch półkulach świata, miała w Polsce licznych wielbicieli, (niejeden jeszcze żyje), a dopiero w dobrych kilkanaście lat po zgonie pomyślano o wystawieniu jej skromnego pomnika w postaci książki p. F. Siedleckiego, który może nie miał sposobności podziwiać wielkiej artystki na scenie.

W każdym razie autor zrobił dobry początek. Książkę swoją, przedstawiającą w zwięzłym zarysie całkowity żywot prywatny i artystyczny—Heleny Modrzejewskiej, oparł p. Siedlecki na podstawie własnych pamiętników artystki („Wpomnienia i Wrażenia") oraz główniejszych opinij o jej grze ówczesnej krytyki teatralnej. Rzecz cała, pisana serdecznie i bezinteresownie, daje niezłe pojęcie o tem, czem była wielka artystka jako jednostka ludzka, jako kobieta i na czem polegał jej niezrównany artyzm. Do książki dodano 40 reprodukcyj, przedstawiających Modrzejowską w jej główniejszych rolach.

*

W Wilnie zaczęło wychodzić czasopismo pod mocno pretensjonalnym tytułem „Źródła mocy", pod redakcją (oczywiście!) p. Mieczysława Limanowskiego. Jest to pismo „poświęcone kultnrze racjonalnej ziem b. Wielkiego Księstwa Litewskiego". Kierowników tego pisma snadź nie zbija z tropu ta okoliczność, iż całe te ziemie nie stanowią dziś całości ani pod względem kulturalnym, ani etnicznym, ani państwowym, ani pod żadnym innym, więc conajmniej niewczesne jest gadanie o „kulturze krajowej, będącą harmonją syntezy(!) żywych pierwiastków polskich, litewskich i białoruskich". Treść N-ru I-go zupełnie tej „syntezy" nie ujawnia. Najcenniejszy jest dział bibljograficzny, dotyczący przekładów z Mickiewicza na jęz. litewki (M. Brensztejn), oraz hebrajski, żydowski („idysz") i karaimski (P. Kon), książkę zamyka obfity dział sprawozdań z ruchu wydawniczego w Wilnie. Zeszyt okazały (str. 138) zdobi rzeczywiście ciekawa podobizna głowy Mickiewicza z rzeźby Szukalskiego.

*

Ukazał się pierwszy zeszyt dwutygodnika poświeconego sprawom obrony państwa p. t. „Szaniec" i zawiera między innemi artykuły:
Naród a wojsko. (Wstęp). Wódz i rząd za dowództwa ks. M. Radziwiłła (Wacława Tokarza). O dusze dowódców. Medal wojskowy za wojnę 1918-1920. Nadrenja (Zdzisława Żórawskiego).
Znajdujemy dalej bogaty dział kroniki, przegląd prasy i gruntowny dział sprawozdań z książek, poruszających zagadnienia wojskowe. Nowe pismo zapowiada się obiecująco.

*

Wyszedł z druku trzeci zeszyt „Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego". Na treść zeszytu składają się: Artykuły: „Projekt ustawy o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji", przez prof. Zolla; „Reorganizacja monopolu soli w Polsce" przez posła Jerzego Michalskiego; Przegląd Piśmiennictwa: 40 recenzyj i sprawozdań krytycznych z zakresu prawa, ekonomji i socjologji oraz bogata bibljografja odnośnej literatury polskiej i obcej. Przegląd prawodawstwa: skarbowego, (Dr. Knapowski), karnego (prof. Stelmachowski), kronika ustawodawcza. Sądownictwo: Przegląd Orzecznictwa karnego i cywilnego sądu Najwyższego oraz Najw. Trybunału Administracyjnego dla wszystkich ziem polskich. Kronika ekonomiczna: rolnictwo, przemysł, handel, stosunki walutowe, ubezpieczenia, kronika robotnicza. — Prenumerata roczna we wszystkich księgarniach 20 zł.

U SŁOWIAN

Istniejący w Pradze od r. 1909 *„Cesko-polsky spolekensky klub"* jest może najczynniejszym ze wszystkich zagranicznych stowarzyszeń przyjaciół Polski. Świeżo wyszło drukiem w osobnej broszurce sprawozdanie z działalności Klubu za rok 1926. Ze sprawozdania tego, zawierającego długi szereg pozycyj polonofilskiej pracy, należy wymienić: urządzenie szeregu odczytów koncertów, uroczystości 3 majowej, akademji ku czci Kasprowicza, witanie w Pradze licznych gości polskich, w tem i ówczesnego premjera Al. Skrzyńskiego oraz wycieczek. Klub liczy 232 członków a w okresie sprawozdawczym jako prezes na czele zarządu stał znany i bardzo już zasłużony polonofil Dr. Jótz Fuhrich, viceprezesami byli Fr. Vondrácek Lad. Cech, sekretarzami Dr. K. Moravec i inż. Zd. Matousek, skarbnikiem pułkownik R. Mládek.

*

Katedrę literatury porównawczej słowiańskiej na uniwe Karola w Pradze objął (po Janie Máchalu) Dr. Jirć Horák, dotąd wykładający w uniw. berneńskim (tj. morawskim). Okoliczność) zbiegły się tak, że niemal równocześnie (pół roku wcześniej katedrę taką objął w Brukseli Polak Dr. W. Lednicki. Otóż ten ostatni nie uznaje istnienia w dziedzinie lit. słowiańskiej jakiegoś *patrimonium commune* (jak w filologji jest niem język prasłowiański). Natomiast prof. Horák staje na wprost przeciwnem stanowisku. Nowoczesna literatura piękna jest według niego czemś wspólnem na ogólnosłowiańskim polu badań. Literaturę słowiańską należy badać w związku z innemi składnikami słowiańskiej jedności kulturalnej.

*

Macierz Łużycka w Budziszynie (*Macica Serbska*) obchodziła uroczyście swój 80-letni jubileusz istnienia. Zebranie sprawozdawcze zagaił przewodniczący dr. Herman po odśpiewaniu pieśni narodowej *„Riana Łużica"* (Piękna Łużyca) Zejlerja. Ze sprawozdania okazało się, że liczba członków towarzystwa przekracza 200, a wszystkich 10 wydziałów pracuje intensywnie nad zbogaceniem kultury narodowej. Wydany przez Macierz rocznik *„Casopis Macicy Serbskeje"* przynosi cenne prace z zakresu wszystkich nauk o Łużycy, redaguje go zaś honorowy prezes Macierzy, wybitny uczony prof. dr. Ernest Muka.

*

Naród chorwacki obchodzi obecnie 70-tą rocznicę urodzin najwybitniejszego powieściopisarza swego Ljubomira Babića piszącego pod pseudonimem Ksaver Sandor Djalski. (Coprawda rocznica ta minęła już trzy lata temu, bo jubilat urodził się w r. 1854). Djalski, z zawodu zrazu urzędnik, potem poseł do sejmu chorwackiego i parlamentu węgierskiego, wkońcu wielki zupan (wojewoda) zagrzebski (od r. 1919 na emeryturze), wzbogacił literaturę chorwacką ogromną ilością nowel, powieści historycznych i obyczajowych. Zrazu realista, w późniejszej swej twórczości częścią jakgdyby przeszedł do neoromantyzmu, częścią w ostatnich latach do mistycyzmu. Wszystkie jego dzieła z którejkolwiek epoki, posiadają wspólną cechę: kult piękna i gorące uczucie patrjotyczne. Ważniejsze dzieła (w porządku chronologicznym) są następujące: Illustrissimus Batory (1884), Pod staremi dachami (1887, zbiór nowel, gdzie jest i ta pierwsza), Na rodzonej piersi (1891), *„Osvit"* (Switanie, 1892, wielka powieść historyczna), W nocy (1886 — 1887), Janko Borislavić (1887), Radmilović (1894—95), Mors (1897), mistyczne nowele w zbiorku p. t. Małe opowiadania (1894), Za mowę ojczystą (1906, powieść z dziejów Iliryzmu), Przybycie Chorwatów (1924, z okazji tysiąclecia królestwa chorwackiego), w końcu: Sprzeniewierzone ideały (1925, już na tle zjednoczenia Królestwa SHS.).

*

Literatura czeska wpływa do naszej bardzo wąskim i płytkim strumieniem i nie oddziaływa na nią prawie wcale. Najszersze łożyska mają: francuska, angielska i skandynawska. Jest to strata nie ze względu na talenty, które zwłaszcza w powieściopisarstwie polskiem są wyższej miary, ale ze względu na charakter twórczości. Nasi autorowie lubują się w jaskrawych tragedjach i bardzo splątanych powikłaniach stosunków życiowych, tymczasem powieści społeczeństw demokratycznych malują obrazy z jaśniejszem oświetleniem i snują wątki proste. Dowodem świeżo wydana w przekładzie z czeskiego „Historja filozofów" A. Jiraseka. („Bibljoteka słowiańska" w przekładach Stanisława Alberti tom 1) Filozofami są tu studenci uniwersytetu, ich zabawy, kochania, zatargi z surowymi profesorami a wreszcie udział w walkach rewolucji 1848. Wszystko to przesuwa się przed czytelnikiem w scenach i wypadkach żywych, ale pozbawionych zupełnie melodramatu. Księgarnia Hoesicka, która tym utworem ropoczyna wydawnictwa „Bibljoteki Słowiańskiej" zasila literaturę naszą pokarmem zdrowym i odżywczym. Za dużo bowiem używamy powieściowych narkotyków i trucizn.

TEATR

NA TLE ŻYCIA AKTOREK

W teatrze Polskim wystawiono komedję Berra i Verneuila „Panna Flute" bezpośrednio po „Samuelu Zborowskim". Utwór bulwarowy, napisany dla półświatka paryskiego, daje w roli tytułowej efektowną postać kokotki. Grała ją p. Modzelewska znakomicie. Powodzenie w porze kanikuły letniej zapewnione.

W teatrze Narodowym wystawiono dawną komedję Stefana Krzywoszewskiego „Aktorki". Autor odświeżył ją przez dostosowanie do obecnej mody w strojach i obyczajach. Pozostał wszakże styl wewnętrzny z czasów, kiedy autor hołdował obowiązującemu realizmowi i bojował o prawa sztuki, a więc najpierw o miejsce w świecie dla artystów, o prawo człowieczeństwa dla aktorek. Jest to jedna z najsympatyczniejszych sztuk Krzywoszewskiego, posiadająca niemało walorów artystycznych, które dobrze gra artystów uwydatniła. W.

NOWE KSIĄŻKI

Szlagowski Antoni ks. Mowy Narodowe. Poznań Księgarnia św. Wojciecha.

Łoziński Zygmunt ks. Rozważania Majowe dla duchowieństwa. Poznań Księgarnia św. Wojciecha.

Cuthbert R. P. O. F. S. C. Żywot św. Franciszka z Assyżu. Przekład autoryzowany Anny Szottowej. Poznań Księgarnia św. Wojciecha.

Pappée Stefan. Misterja balladowe Emila Zegadłowicza. Poznań 1927, str. 48.

Jam. Mowa kwiatów. Rysunki i okładkę wykonał Stanisław Ejsmont. Nakładem Zakładów Ogrodniczych C. Ulrich. Warszawa.

Grabski Stanisław. Rzym czy Moskwa? Poznań. Księgarnia św. Wojciecha.

Grabski Władysław. Dwa lata pracy u podstaw państwowości naszej (1924 — 1925). Warszawa. Nakład księgarni F. Hoesicka.

Schroeder Artur. Awantury teatralne. Lwów. Wydawnictwo Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich.

Wierzbiński Maciej. Wolność. Powieść z czasów odrodzenia Wielkopolski. Poznań. Księgarnia św. Wojciecha.

Czeska Mączyńska Marja. Dymy. Poznań. Księgarnia św. Wojciecha.

Marja z Fredrów Szembekowa. Niegdyś.. Wspomnienie moje o Al. Fredrze. Z przedmową Adama Grzymały-Siedleckiego. Lwów 1927. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Str. 156.

Kazimiera Alberti. Mój film. Warsz. 1927. F. Hoesick.

Marja Kasterska. $^9/_{10}$ przeciw $^1/_{10}$. Poezje. Warsz. 1927. F. Hoesick.

Wacława Grodzicka-Czechowska. Poezje Tom V. Pieśni. Warsz. Gebethner i Wolff.

Artur Oppman (Or-Ot). Poezje. T. III. Pieśni o stawie. Wyd. zupełne. Warsz. 1927. Geb. i W.

Kornel Makuszyński. O duszach, djabłach i kobietach. Wyd. nowe zwiększone. Warsz. 1927. Geb. i W.

Jan Rogala. Zarzewie. Powieść. Warsz. 1927. Geb. i W.

Janusz Wilatowski. Koń w życiu polskiem. Rys hist.-obyczajowy. Bibl. Dzieł. Wybor.

O. Henry. Bluff. Bibl. humoru. J. Mortkowicz.

Zofja Żurakowska. Gość z Ameryki. Tamże.

Jul. Słowacki. Wybór utworów dla młodzieży. Tamże.

J. P. Jacobsen. Niels Lyhne. 2 tomy. Tamże. Bibl. beletr.

Edward Lubicz-Niezabitowski. Postacie żywych zwierząt. Zesz. I. (Album ilustr.). Według własnych zdjęć fot. Poznań (1927). Księg. św. Wojciecha.

Władysław Witwicki. Psychologja dla użytku słuchaczów wyż. Zakładów nauk. Tom II. Lwów (1927). Zakład Nar. im. Ossolińskich. Str. 416.

Władysław Smoleński. Monteskjusz w Polsce w. XVIII. Warsz. (1927). Kasa im. Mianowskiego. Str. 104.

Zofja Klarnerówna. Słowianofilstwo w literaturze polskiej; 1800—1848. Warsz. 1926. Str. 302.

Juljan Krzyżanowski. Romans pseudohistoryczny w Polsce w. XVI. Prace hist.-liter. № 25. Kraków 1926. Skład gł. w Warsz. Kasa im. Mianowskiego. Str. 186.

Miecz. Brahmer. Petrarkizm w poezji polskiej XVI w. Kraków 1927. Prace hist.-liter. nr. 27. Tamże. Str. 244.

Ernest Candeze. Przygody świerszcza. 3 części. Tow. Wyd. Dobr. książki dla młodzieży. Mortkowicz.

Stan. Kolbuszewski. Filozoficzne podłoże pedagogji Hoene-Wrońskiego. Odczyt. Lwów 1927. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Str. 23.

Helena Dorabialska. Ćwiczenia praktyczne z harmonji. Kurs I. Z przedmową Piotra Rytla. Warszawa 1927. Geb. i W.

Stefan Derewojed. I moje trzy grosze. Kielce 1927. Str. 44.

Władysław Orkan. Listy ze wsi. Tom II. Warsz. (1927). Gebethner i Wolff.

Stanisława Sarjusz-Wolska. Zarys wychowania moralnego i obywatelskiego. Warsz. 1927. Str. 95.

Casimir Smogorzewski. La Pologne restaurée. Préface de m. Auguste Gauvain. Avec 22 port. et 19 cartes. Paris (1927). Gebethner i Wolff. Str. 360.

Ruch Literacki. Czerwiec.
Przegląd filozoficzny. Rocz. 30, zesz. 1.
Ateneum Kapłańskie. czerwiec—lipiec.
Walka z bolszewizmem. Warsz. lipiec—sierpień.
Muzyka. Warsz. Czerwiec.
Gazeta Rolnicza. Zesz. jubileusz. 1907—1927.
Przegląd Powszechny, czerwiec
Przegląd Współczesny, czerwiec.

NA MARGINESIE

P. Koskowski w „Kur. Warsz.", pisząc o niesłychanych występach p. Al. Skrzyńskiego w Krakowie, gdzie na odczytach dla młodzieży atakował Traktat Wersalski zupełnie tak, jak to czyni Stresemann, — z przejrzystą uprzejmością, nie chcąc użyć innego wyrażenia, nazywa idee tego dziwnego dyplomaty poezją. Otóż jeśli odczyty p. Skrzyńskiego są jednym rapsodem poematu p. t. „Precz z niesprawiedliwym dla Niemców traktatem" — to drugi rapsod dorabia fama publiczna i daje mu tutuł: „Posunięcie". Rapsod ów opiewa, jak to p. Skrzyński zabiega, aby zostać posłem polskim w Berlinie.

*

Szczytem chłopięcej łobuzerki była wyprawa literata barokowego Kadena-Bandrowskiego po ster gospodarki w stoł. m. Warszawie. Legendarne dzieje tego okresu Warszawy przejdą z czasem całkowicie do ksiąg humoru polskiego. Zajmą tam swoje miejsce sanacyjne liczniki, jako czyn gospodarczy 25-ki, który miał Kadenowi-Bandrowskiemu utorować drogę do prezydentury. Teraz te liczniki, jak uliczniki, wymyślają miastu w „Głosie Prawdy", że im nie pozwała się bawić w sanację finansów miejskich.

*

Machiavelli powiedział:
Gdy zmienia się ustrój państwowy w ten sposób, że zamiast prawa, regulatorem stosunków staje się „miłość", to najgorzej wychodzi na tem skarb. Bo za kult ludzie każą sobie dobrze płacić. Zakładają w sercu liczniki. Trzeba płacić podwójnie: 1) za to żeby kochali i 2) żeby innych nienawidzili.

*

Radykalizm (tak się nazywa teraz w Warszawie bolszewizm) hula w „Głosie Prawdy". Oto aforyzmy stamtąd wzięte: „Walka z obcym najeźdźcą wydaje nam się błahą w porównaniu do tej walki z własnem społeczeństwem... A toć ja mam więcej stycznych z Japończykiem niż z endekiem, prędzej mnie wyrozumie mułła niż ksiadz. Co będzie po nas? Oni zostaną! Zablagują prawdę, zablagują Polskę! Polska będzie więcej katolicka i ciemna niż Hiszpanja, więcej zależna niż Albanja!" Stylu lokalnego wynurzeniu temu dodano przez wtrącenie wyrażenia: „Walka z własnem społeczeństwem"... Znamy to, znamy! Tylko nam zawsze, gdy mowa o tej walce, przypomina się z Kiplinga walka Bander Log z ludźmi, polegająca na obrzucaniu ich ekskrementami. Zdaje się, że społeczeństwo tę walkę wygra.

LIST DO REDAKCJI

Otrzymaliśmy list następujący:

W notatce krytycznej o „Historji Literatury Polskiej" K. Wojciechowskiego („Myśl Narodowa" r. 1927 nr. 6) zostałem przez p. S. C. obarczony zarzutem, jakoby z mojej winy pominięto Cyprjana Norwida w nowem wydaniu wymienionego dzieła. W tej sprawie wyjaśniam, że p. S. C. oparł się na wzmiance wstępu, która jest nieścisła. Dział, powierzony mi do opracowania, obejmował w zakresie literatury XIX w. tylko t. zw. poetów krajowych; opracowanie działalności twórczej Norwida do mnie nie należało. Mogę wyrazić nadzieję, że w nowem trzeciem wydaniu „Literatury" otrzyma twórca „Promethidiona" należne mu miejsce

Zenon Alexandrowicz

CZAS ODNOWIĆ PRZEDPŁATĘ
za kwartał III.

TREŚĆ: Światek maleńkich ideałów *J. Rembielińskiego.*—Czy ministerjum pracy jest potrzebne? *J. Opieńskiego.*—Masonerja nie istnieje... *J. E. Skiwskiego.* — Dramat twórczości Żeromskiego *Z. Wasilewskiego.* — Teatr w Polsce a teatr we Francji *F. Strowskiego.* — „Życie jest snem“ (fragment dramatu Kalderona) przekład *B. Zanówny.* — Liberum veto *A. Świętochowskiego.*—Głosy: Organizacja masonerji w Lidze Narodów; Po pogrzebie; Jeszcze w sprawie lektury dla młodzieży *M. Dynowskiej.*—Przegląd polityczny *J. R.* — Nauka i literatura („Wielki Realista“ *Wł. Jabłonowskiego,* „Artura Górskiego poemat wiary“ St. Kolbuszewskiego, „Mestwin“ i t. d.).—Teatr *Z. W.* —Nowe książki.—Na marginesie.—List do Redakcji.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM